tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 28 (1127) ROK XXII 15 LIPCA 1979 R. CENA 3 zł

W NUMERZE:

ŻYWOT NIEOSOBLIWY

Jak zapamiętałem dyrektora Mieczysława Woźniakowskiego? Niewysokiego wzrostu, skupiony, jakby wyciszony wewnętrznie, jedyną oznaką ożywienia (czy może pewnej nerwowości) był fakt, że często poprawiał okulary na nosie. Pracował niewątpliwie dużo, trzeba było w niełatwych przecież warunkach przywrócić życie szkolne, a mimo to pojawiał się często wśród uczniów. Nie strofował ich, po prostu był wśród nich obecny.

(Tadeusz Gicgier)

SPACER PO KSIĘŻYCU

W 1961 roku opracowałem program wyprawy na Księżyc, któremu nadano miano „APOLLO". Jeszcze minęły trzy lata nim wystartował pierwszy statek kosmiczny z serii „Apollo". Stało się to 28 maja 1964 roku...

... I tak, nim ruszyli w przestrzeń, aby pokonać to, co innym wydawało się niemożliwe, musieli pokonać siebie, pokonać własne słabości.

(Lucjusz Włodkowski)

CYZELOWANY ŻYCIORYS

Ktoś się uśmiechnie — dziwna kariera! Dziwniejsze są jednak przekwalifikowania, np. z absolwenta archeologii na hodowcę brojlerów, z inżyniera na szwacza dżinsowych portek, lub z prawnika na... właściciela „butiku".

(Zdzisław Szczepaniak)

POZA TYM:

JEST TAKA SZKOŁA – fotoreportaż R. Łucyszyna

USA NA OCEANIE INDYJSKIM

Nowa powieść Władysława Rymkiewicza FATAMORGANA

Polemiki, felietony, załącznik

Mężczyzna w maciejówce, ogorzały, z górną szczęką pełną srebrnych koronek, zastanawiał się głośno, czemu w tym krańcu wsi nie ma numeru czterdzieści cztery, chociaż powinien być, ale kiedy podpowiedziałem, że ona pisze, zawołał z rozbrajającą szczerością:

— *Panie, zaraz trzeba mówić, że kobieta pisząca! Listów do niej idzie od cholery! Taż ona z Łodzi przybyła, ale byków nie ma, broń Boże! Świnie ona, panie, hoduje! Wjedziecie na górkę to pokażę! Ale żeby tam numer czterdzieści cztery?* — mrukną sceptycznie. — *Kręcą w tym urzędzie, cholera, i ludzi mylą...*

RYSZARD BINKOWSKI

DOM NAD JEZIOREM

Wjechaliśmy na górkę i pokazał mi to wzgórze po drugiej stronie jeziora, kilometr za wsią, pod samym lasem, a na szczycie białą chlewnię i ukryty za nią pośród drzew biały dom z krytym dachówką dwuspadowym dachem. Przeszedłem mostek na zwężeniu jeziora i powlokłem się pod górę polną drogą, pełną wybojów, ciężką, gliniastą, jak spieczona ziemia na polach i pomyślałem, że kobieta do której szedłem w odwiedziny, wydając na swoje dwudzieste piąte urodziny debiutancki „Tort urodzinowy", pełna młodzieńczego uniesienia, z wyobrażeniem, że pisarz to ktoś na ołtarzu, na pewno nie mogła wówczas przewidzieć, iż kolejne urodziny obchodzić będzie w tej „chacie za wsią", w tym pięknym, malowniczym zakątku, nastrajającym do refleksji turystę, lecz dla stałego mieszkańca trudnym i surowym.

Wyszła z obejścia, zamykając starannie furtkę, drobna, szczupła, w bluzce z krótkimi rękawami i w dżinsach; włosy miała krótko przycięte, spłowiałe na słońcu, w twarzy lekkie zmęczenie, a w zmrużonych niebieskich oczach wzruszenie i radość.

Ewa Ostrowska, pisarka, która porzuciła miejskie wygody skazując się na ciężką wiejską egzystencję. Kiedy opuściła Łódź, niektórzy twierdzili, że to jakieś babskie fanaberie. Naje się tego dobrego i szybko wróci. Inni uznali, że zwariowała, a najbardziej sceptyczni doszli do wniosku, iż zatyra się w tych morgach i skończy z pisaniem. Jej postawa zaintrygowała również i mnie, dlatego przyjechałem.

— *Że wychodzę przed obejście jak dziedziczka? Niech pan spróbuje sam wejść na podwórze* — śmieje się Ewa.

Nie próbowałem. Po godzinie furtkę otworzyła kobieta, która przyszła dorobić przy pieleniu buraków, ta, co się jej w zeszłym roku powiesił mąż, zostawiając osiem sierot, i zaraz był wrzask,

Dalszy ciąg na str. 3

TADEUSZ GICGIER

Żywot nieosobliwy

To było w Ciechanowcu, bodaj w piątym roku mego pobytu na Białostocczyznie. Wyjechawszy z Łodzi, odczuwałem pewną pustkę, którą nie bardzo udawało mi się zapełnić. Miałem wprawdzie dom, żonę, syna, pracowałem — i to dosyć intensywnie — w tamtejszej Rozgłośni, wiązałem się z ruchem młodych literatów, trochę im pomagając w miarę swych skromnych sił i wiadomości, próbowałem włączyć się w tamtejsze życie kulturalne poprzez działalność w Białostockim Towarzystwie Kultury — wszystko to jednak nie rekompensowało mi życia w Łodzi.

Animatorką wielu poczynań kulturalnych była tam wówczas wieloletnia posłanka na Sejm, twórczyni miesięcznika „Kontrasty", prezes Białostockiego Towarzystwa Kultury — Krystyna Marszałek-Młyńczyk. Ona to właśnie wystąpiła z inicjatywą zorganizowania w Ciechanowcu, w pięknie odrestaurowanym dawnym pałacu Starzeńskich, gdzie mieści się Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka i gdzie ma swoją siedzibę Towarzystwo Miłośników Ciechanowca — ogólnopolskiego zjazdu towarzystw regionalnych. Zjazdu, a właściwie — narady, wymiany doświadczeń, wytyczenia perspektyw dalszej działalności.

Zjechali do Ciechanowca ludzie z całej Polski, w tym również kilku łodzian. Pamiętam: zwiedzaliśmy właśnie stary lamus, gdy podszedł do mnie Mieczysław Woźniakowski, którego znałem od wielu lat. Uścisnął mi rękę i zapytał:

— *Jak się panu właściwie żyje z daleka od Łodzi?*

Zacząłem mówić o pięknie tej mojej przybranej ziemi, o spotykanych tu ciekawych ludziach, mówiłem długo i chyba trochę mętnie. Mieczysław Woźniakowski przyjrzał mi się uważnie, a potem bez słowa ujął klapę mej marynarki i wpiął w nią znaczek Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, które tu reprezentował. A potem zwiedzaliśmy dalej skansen ciechanowiecki.

* * *

Do mego pierwszego spotkania z Mieczysławem Woźniakowskim doszło w warunkach bardzo osobliwych. Było to zaraz po wojnie, w początkach lutego 1945 r. Aż trudno uwierzyć, że w dwa tygodnie po wyzwoleniu Łodzi ruszyły szkoły. A jednak ruszyły. Wracałem do szkoły, do której zacząłem uczęszczać we wrześniu 1939 r.

* * *

Nauka rozpoczęła się w kilka dni po wkroczeniu Niemców do Łodzi. Klęska wrześniowa silnie wstrząsnęła mym dwunastoletnim umysłem — szkoła, jak tylko mogła, próbowała złagodzić to doznanie. Lekcje odbywały się normalnym trybem, profesorowie starali się odgrodzić nas od napierającej grozy okupacyjnej, jedyna rzecz, która ją przypominała, to codzienne dwie godziny języka niemieckiego. I tutaj jednak, zgodnie z tradycją szkoły, sięgaliśmy do humanistycznych idei w literaturze niemieckiej, wiele czasu — pamiętam — poświęcaliśmy zwłaszcza Goethemu. Bliska znajomość, którą zawarłem wtedy z twórczością tego poety, przetrwała do dziś. W wielu okolicznościach życia wracałem i wracam do jego wierszy.

Język niemiecki, jak wspomniałem, był tym jedynym chyba koniecznym ogniwem, łączącym nas z okupacją. Poza tym szkoła oddzielała od niej swych uczniów bogactwem podawanej wiedzy, ciekawymi lekcjami języka polskiego, historii, geografii (wykładanej przez niezapomnianą profesor Wysokińską), mitologii greckiej i rzymskiej. Wyobraźnię moją absorbowały szczególnie dwie rzeczy: rzeźby ustawione na korytarzach oraz gabinet przyrodniczy. Z tym drugim wiązały się wypady w czasie przerw do parku, owoc zakazany, a więc tym bardziej kuszący.

W połowie grudnia sielanka prysła: aresztowano dwóch profesorów. W tydzień później przenosiliśmy ławki z naszej klasy na górne piętra: Niemcy zamykali szkołę i rekwirowali budynek. Żegnając się z nami dyrektor Starkiewicz zachęcał do wytrwania w nauce i zakończył krótkie wystąpienie słowami, iż może niezadługo spotkamy się w klasie znowu...

To „niezadługo" trwało pięć lat. Przez te lata pracowałem w fabryce i na naukę nie starczało mi ani czasu, ani sił. Sięgałem po dostępne mi książki raz z jednej dziedziny, raz z drugiej — i wynik był taki, że po odejściu wojsk hitlerowskich zdałem raptem do drugiej klasy gimnazjalnej.

Nie przejąłem się tym zbytnio: ważne było, że wróciłem do swojej szkoły. Oto wypełniona niezwykłym gwarem wielka aula, biały orzeł na czerwonym tle zawisnął nad podium, przemawia dyrektor Woźniakowski, a potem wszyscy śpiewają „Jeszcze Polska...". Patrzę na twarz jednego z posiwiałych profesorów i widzę, jak jego dolna szczęka drga niby małemu dziecku.

I znów rozpoczęły się lekcje. Towarzyszył im wewnętrzny bezwład, bolesna trudność wdrażania się w zajęcia szkolne, od których odszedłem tak daleko. I znowu szkoła przyszła mi z pomocą: powoli, choć z wielkim wysiłkiem, podźwigałem się z depresji, nawiązywałem do minionego, przerzucałem pomost nad wojną.

* * *

Jak zapamiętałem dyrektora Mieczysława Woźniakowskiego? Niewysokiego wzrostu, skupiony, jakby wyciszony wewnętrznie, jedyną oznaką ożywienia (czy może pewnej nerwowoś-

Dolszy ciąg na str. 4

KRONIKA KULTURALNA

* * *

Od wielu lat datuje się ścisła współpraca Łódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu i Okręgowego Frontu Narodowego w Karl-Marx-Stadt (NRD). Ostatnim aktem dotychczasowej wymiany doświadczeń, zwłaszcza w pracy ideowo-wychowawczej, stała się wizyta delegacji z Karl-Marx-Stadt — w końcu czerwca br. Podpisano porozumienie o dalszej współpracy na lata 1980—81, a w programie pobytu gości z NRD znalazło się m.in. zwiedzanie Parku Kultury i Wypoczynku na Zdrowiu, Muzeum Włókiennictwa i innych obiektów kulturalno-wychowawczych.

* * *

29 czerwca 1979 r. w Zarządzie Głównym Zw. Zaw. Prac. Przem. Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego w Łodzi odbyło się ogólnopolskie spotkanie kierowników placówek kulturalno-oświatowych tego Związku, przedstawicieli rad zakładowych, dyrekcji przedsiębiorstw, przewodniczących społecznych rad międzyzakładowych domów kultury, bibliotekarzy oraz instruktorów amatorskich zespołów artystycznych. Spotkanie to poświęcono działalności Związku w dziedzinie upowszechniania kultury i oświaty, oraz pracy ideowo-wychowawczej. Podkreślono znaczenie doświadczeń „Sojuszu świata pracy z kulturą i sztuką" — w rozbudzaniu zainteresowań sztuką w miejscach pracy. Warto te przy tej okazji przypomnieć, że włókniarze prowadzą w całym kraju 69 domów kultury, 88 klubów, 115 świetlic i 274 biblioteki. Działa kilkaset amatorskich zespołów teatralnych, tanecznych i muzycznych.

* * *

Z początkiem lipca rozpoczęły się egzaminy na wyższe uczelnie. Jak zwykle największym powodzeniem cieszą się kierunki humanistyczne, a wśród nich kulturoznawstwo (w UŁ: 6 kandydatów na 1 miejsce), archeologia polska (3,7) pedagogika w zakresie pracy kulturalno-oświatowej (3,4). Liczba chętnych przekroczyła liczbę miejsc również na takich kierunkach, jak bibliotekoznawstwo (w UŁ 2,1 na 1) i wychowanie muzyczne (2,1 na 1).

* * *

21 czerwca br. w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Waryńskiego odbyły się uroczystości jubileuszowe 60-lecia Okręgu Łódzkiego Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. Referat jubileuszowy wygłosiła prezes Zarządu Łódzkiego Oddziału SBP mgr Izabela Nagórska. Oddział został odznaczony Honorową Odznaką Miasta Łodzi i wyróżniony Dyplomem Ministra Kultury i Sztuki. W części popularnonaukowej obchodów jubileuszowych z referatami poświęconymi rozwojowi i zastosowaniu Systemu Informacji Naukowej, Technicznej i Organizacyjnej (SINTO) wystąpili: prof. dr hab. J. L. Kulikowski, dr J. Czerni, mgr L. Staśto oraz dr J. Przygocka i mgr E. Woźniakowska.

W związku z uroczystościami 60-lecia Okręgu Łódzkiego SBP zorganizowana została — w hallu Biblioteki im. L. Waryńskiego — wystawa pn. „Z prac członków SBP w Łodzi 1969—1978".

* * *

W końcu czerwca otwarto w Łodzi dwie wielkie wystawy plastyczne. W Ośrodku Propagandy Sztuki — ekspozycję III Triennale Malarstwa i Grafiki Łódź 1979 „Nasz czas — metafora — tendencje" (250 prac 47 artystów z całej Polski); nagrodzono tutaj 6 najlepszych prac: w malarstwie Tadeusza Brzozowskiego, łodzian Stanisława Fijałkowskiego i Ryszarda Hungera w grafice: Jacka Gaja i Andrzeja Pietscha oraz łodzianina Leszka Rózgi. Natomiast w Galerii BWA otworzono międzynarodową wystawę pn. „Małe formy grafiki Polska—Łódź 79" (112 artystów z 15 państw przedstawia ponad 800 prac), która będzie miała w przyszłości charakter biennale. Jury wyróżniło honorowymi medalami prace 10 artystów z Czechosłowacji, Związku Radzieckiego, Hiszpanii, RFN, Japonii i Polski (medale otrzymali S. Fijałkowski, W. Kotkowski i H. Fajlhauer).

Obu wernisażom towarzyszył ogólnopolski zjazd szkoleniowy Biur Wystaw Artystycznych, poświęcony upowszechnianiu plastyki na przykładzie Łodzi.

* * *

W lipcu i sierpniu br. czynna jest w Altes Museum w Berlinie ekspozycja polskiej tkaniny artystycznej od XVIII wieku do dziś, przygotowana ze zbiorów Centralnego Muzeum Włókiennictwa pod kierunkiem jego dyrektora dr Nahlika. Wystawa ta stanowi jeden z elementów obchodów 35-lecia Polski Ludowej w NRD. Całość ekspozycji objęła 89 tkanin, zaś współczesne tkactwo polskie reprezentują trzy najsilniejsze ośrodki: łódzki, warszawski i krakowski. W gronie łódzkich artystów znaleźli się: A. Olczyk-Kocikowa, J. Tworek-Pierzgalska, Z. Litak, D. Sienkiewicz i B. Tomaszkiewicz.

* * *

W Jeleniej Górze odbył się drugi z kolei Ogólnopolski Konkurs im. Józefa Gielniaka na grafikę wykonaną w technice linorytu lub drzeworytu. W konkursie, w którym wzięło udział 200 prac, wśród laureatów głównych nagród znaleźli się łodzianie: Tomasz Chojnacki (jedna z nagród głównych) i Paweł Ciechelski (jedna z trzech trzecich). Ponadto wyróżniono pracę Jana Kubasiewicza.

* * *

Rozstrzygnięty został doroczny konkurs pt. „Tkanina artystyczna Capelii 1979", na który nadesłano 574 prace z 22 regionalnych spółdzielni twórczości ludowej. W końcu czerwca otwarta została w łódzkim Centralnym Muzeum Włókiennictwa wystawa nagrodzonych prac: gobelinów, kilimów, sumaków i dywanów. Organizatorami wystawy, która potrwa do końca sierpnia, są: „Cepelia", Związek Polskich Artystów Plastyków oraz łódzkie Muzeum.

* * *

Jak co roku swoje nagrody przyznała redakcja „Trybuny Ludu" — organu KC PZPR. Tym razem jedną z zespołowych nagród „za kształtowanie i upowszechnianie wartości kultury socjalistycznej" uzyskał Zespół Pieśni i Tańca Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Harnama z Łodzi.

* * *

Ogłoszono wyniki IV Morskiego Turnieju Kultury, będącego formą współzawodnictwa w pracy kulturalnej we flocie handlowej i rybackiej armatorów szczecińskich. Symboliczną „Złotą latarnię" przyznano załodze największego polskiego masowca — 70-tysięcznika m/s „BEŁCHATÓW", pływającego we flocie Polskiej Żeglugi Morskiej. Jest to już drugie tego typu wyróżnienie zdobyte przez załogę masowca.

* * *

Cezary Juszyński — wiceprezes Łódzkiego Oddziału Związku Autorów i Kompozytorów Rozrywkowych, inicjator popularnych „Spotkań z polską piosenką", odbywających się przez 10 lat pod patronatem „Expressu Ilustrowanego" na terenie Łodzi i województwa, znalazł się w gronie artystów estrady, odznaczonych z okazji 35-lecia PRL i 30-lecia objęcia przez państwo patronatu nad rozrywką i estradą.

Podczas uroczystości, która odbyła się na zakończenie XII Festiwalu Piosenki w Opolu, C. Juszyńskiego uhonorowano odznakami „Zasłużonego Działacza Kultury" i „Zasłużonego dla miasta Opola".

* * *

Elżbieta Hibner z Nauczycielskiego Teatru „PROM" w Łodzi, występując na IX Ogólnopolskich Spotkaniach Amatorskich Teatrów Jednego Aktora w Zgorzelcu z „Lisem aspirantem" Mrożka, otrzymała nagrodę I stopnia, a realizatorzy tego spektaklu E. Hibner (wykonanie), M. Glinkowski (reż.) — nagrodę specjalną za najlepsze przedstawienie spotkań.

* * *

Stanisław Derendarz z Raciborowic w woj. piotrkowskim zdobył II nagrodę w dziale prozy podczas VIII Ogólnopolskiego Konkursu im. Jana Pocka, odbywającego się w Kurowie w woj. lubelskim — w ramach cyklu imprez pn. „I Spotkania z Poezją Ludową", organizowanych przez ZG Stowarzyszenia Twórców Ludowych.

Wszystkim nagrodzonym, wymienionym w dzisiejszej „Kronice" serdecznie gratulujemy!

* * *

14.543 zł zebrali od stycznia do maja br. słuchacze Studium Wojskowego Uniwersytetu Łódzkiego — w odpowiedzi na apel Uniwersytetu Jagiellońskiego w sprawie ratowania zabytków Krakowa. Sumę tę przekazał na ręce kierownika Biura Funduszu Rewaloryzacji Zespołu Zabytków miasta Krakowa lekarz por. Krzysztof Chądzyński. Okazało się, że kwota ta jest jedną z najwyższych, jakie dotychczas wpłynęły na konto Funduszu.

* * *

W salach Muzeum Historii Miasta Łodzi przy ul. Ogrodowej otwarta została Międzywojewódzka Wystawa Artystycznych Wyrobów Rzemieślniczych. Zgromadzono na niej m.in. ikony, świeczniki, hafty z 40 pracowni województw: miejskiego łódzkiego, skierniewickiego i sieradzkiego. Minister Kultury i Sztuki nadał 7 rzemieślnikom honorowe tytuły mistrzów rzemiosła artystycznego, w tym 6 z Łodzi (grawerstwo, kowalstwo, haft) oraz 1 z Kolumny, woj. sieradzkie (metaloplastyka).

* * *

15 czerwca br. w Zarządzie Łódzkim TPP-R odbyło się spotkanie członków Zarządu i Kół Oddziału Wojewódzkiego Polskiego Towarzystwa Rusycystycznego, działającego pod przewodnictwem dr Zygmunta Grosbarta — kierownika Zakładu Historii Literatury Rosyjskiej Instytutu Filologii Rosyjskiej UŁ.

W programie spotkania znalazł się m.in. referat Tadeusza Chróścielewskiego pn. „Polska i Polacy w poezji radzieckiej". Po dyskusji nad referatem wręczono legitymacje nowym członkom PTR, a w części artystycznej wystąpił Harcerski Zespół Muzyki i Tańca Narodów Słowiańskich „Bałałajki", działający pod kierownictwem Andrzeja Lazariego.

* * *

Interesującą imprezę zorganizował — z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka — Państwowy Teatr Lalek „Pinokio". 11 czerwca na ul. Gdańskiej odbyła się parateatralna zabawa z udziałem dzieci i aktorów teatru wg scenariusza i w aranżacji Andrzeja Pściuka. Współorganizatorem imprezy był Wydział Oświaty, Kultury i Wychowania UD Łódź—Polesie.

Warto przy tej okazji poinformować, że PTL „Pinokio" zorganizował ostatnio aukcję lalek teatralnych, z której dochód w wysokości 3.595 zł przekazano na konto Centrum Zdrowia Dziecka.

Dorosłym natomiast zaproponowano pokaz autorski znanego łódzkiego plastyka Jerzego Trelińskiego pt. „Osobowość potencjalna", którego współorganizatorem było z Kolei Biuro Wystaw Artystycznych.

* * *

17 czerwca odbyła się kolejna „Niedziela w Muzeum Sztuki", tradycyjna impreza masowa organizowana od 6 lat przez tę placówkę. Jej program był — jak zwykle — bogaty i urozmaicony. Przygotowano go z myślą o szerokich rzeszach miłośników sztuki. Otwarto dwie nowe wystawy czasowe, odbywały się pokazy i koncerty. Imprezie towarzyszyły konkursy, kiermasze oraz rewia mody.

* * *

Walne zebranie sprawozdawczo-wyborcze odbył niedawno Łódzki Oddział Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu. Poruszono na nim najbardziej palące problemy związane z działaniem Stowarzyszenia, sprawy dotyczące poprawy warunków pracy, stosunków międzyludzkich i programów działania w łódzkich teatrach. Wybrano nowy, 7-osobowy Zarząd Oddziału, na czele którego stanął Stanisław Dyzbardis — kierownik literacki Teatru Wielkiego.

* * *

22 czerwca 1979 r. w łódzkim Teatrze Muzycznym zaprezentowano światową prapremierę operetki „Boss" — pióra współczesnego kompozytora austriackiego Igo Hofstettera w inscenizacji i reżyserii Henryka Mozera, ze scenografią Xymeny Zaniewskiej, pod kierownictwem muzycznym Zbigniewa Pawelca. Warto podkreślić, że łódzka inscenizacja wyprzedziła wiedeńską, która odbędzie się jesienią br.

* * *

Trzy filmowe monografie wybitnych ludzi polskiej kultury powstają aktualnie w łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych. M. Koterski realizuje obraz poświęcony Romanowi Kłosowskiemu, utrwalający jego trzy kreacje na deskach Teatru Powszechnego w Łodzi. Z kolei H. Poznańska zadebiutuje w filmie o zmarłej niedawno aktorce Jadwidze Andrzejewskiej. Natomiast K. Mucha zajął się twórczością nieżyjącego też już plastyka Wacława Kondka.

* * *

Tydzień Filmów Hiszpańskich zorganizowano w dniach od 28 czerwca do 4 lipca w kinie „Polonia". W imprezie nawiązującej do tradycji tygodni kinematografii narodowych widzowie mogli obejrzeć filmy m.in. Saury, Bardema i M. G. Aragona.

* * *

Staraniem instytucji: PP „Dom Książki", ARS „Polona—Ruch", „Kniżny Velkoobchod" oraz „Artia" z Pragi zorganizowano w Łodzi okazałą prezentację książki czeskiej, obejmującą ok. 300 tytułów z zakresu wydawnictw polityczno-społecznych, techniki, leksykografii, sztuki, kartografii, literatury dla dzieci i młodzieży, nauk przyrodniczych i beletrystyki. Uwzględniono na wystawie przekłady z literatury polskiej od Mickiewicza do Kuśniewicza. M.in. można było zobaczyć nieknie wydanego „Konrada Wallenroda".

* * *

Rozstrzygnięto doroczny konkurs na recenzję teatralną, organizowany przez Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz Towarzystwo Przyjaciół Łodzi dla uczniów szkół ponadpodstawowych woj. miejskiego łódzkiego. Spośród 106 prac nagrodzono 10, w tym nagrodą specjalną — uczennicę Agnieszkę Izdebską „za wyjątkowo dojrzałe spojrzenie na spektakl „Montserrat" w Teatrze Powszechnym".

* * *

W Piotrkowie Tryb. — podczas wykopalisk prowadzonych w rejonie Starówki, w pobliżu zachowanego fragmentu murów miejskich, odkryto na głębokości 2,5 m świetnie zachowany fragment ulicy łącznie z rynsztokiem. Monety z XII wieku znalezione w tym miejscu pozwoliły na ustalenie czasu, w jakim ta część Piotrkowa została podniesiona — w porównaniu do dawnego poziomu. Jedną z przyczyn zasypania ulicy było — zdaniem archeologów — dążenie do osuszenia terenu (miasto — jak wiadomo — leży na bagnach i jest oblane wodami Strawy i Strawki). Inne przyczyny wyjaśnia jednak dopiero kolejne badania archeologiczne.

KONKURS publicystyczno-literacki im. Władysława Reymonta

Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Skierniewicach oraz Wojewódzka Rada Związków Zawodowych zapraszają do konkursu zamkniętego na reportaż o województwie skierniewickim literatów i dziennikarzy zgrupowanych w oddziałach ZLP i SDP w Łodzi i w Warszawie. Tematem prac dotąd nie publikowanych może być całokształt, względnie wybrana dziedzina życia społeczno-gospodarczego i kulturalnego, województwo jako całość lub poszczególne jego ośrodki i środowiska lokalne.

Prace (od 5 do 10 stron znormalizowanego maszynopisu), podpisane godłem (jeśli uczestnik konkursu jest autorem kilku — odrębnymi godłami), należy nadesłać pod adresem: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, ul. Sienkiewicza 14, kod 96-100 Skierniewice — do 15 września 1979 r. Do każdej z prac trzeba dołączyć zapieczętowaną kopertę, opatrzoną identycznym godłem, zawierającą imię, nazwisko i adres autora.

W. Stokowski — odznaczony

Z przyjemnością informujemy, że uchwałą Zarządu RSW „Prasa — Książka — Ruch" z dnia 22 maja 1979 roku zastępca redaktora naczelnego „Odgłosów" WŁODZIMIERZ STOKOWSKI został uhonorowany Odznaką „Za zasługi dla RSW „Prasa — Książka — Ruch". Odznaczenie to wręczył W. Stokowskiemu w dniu 4 lipca br. dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego — Piotr Sagan. Serdecznie gratulujemy.

Nowa akcja TPŁ

Z godną poparcia inicjatywą wystąpiło Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. W odpowiedzi na liczne głosy mieszkańców miasta otworzyło ono **konto na fundusz rewaloryzacji zabytków łódzkich.** Tym, którym bliska jest wartość historyczna i architektoniczna Łodzi, podajemy numer konta: **47512-6581-132 PKO I O/M w Łodzi,** zachęcając również naszych Czytelników do włączenia się do zainicjowanej przez TPŁ akcji.

PO 10 LATACH

Są na świecie ludzie, którzy albo nie wiedzą, albo nie wierzą, że człowiek był już na Księżycu. Jednych o tym nie poinformowano, innych to nie interesowało i nadal nie interesuje. Mówimy często o ziemskiej cywilizacji, mając na myśli jej najwyżej rozwiniętą część. A przecież na naszej planecie współżyją ze sobą ludy wysoce — jak na nasze możliwości — ucywilizowane i ludy prymitywne oraz duża część tych, którzy znajdują się pośrodku, pokonując niebywale trudną drogę doganiania najlepszych. I właśnie ta, tak zróżnicowana cywilizacja zdobyła się na spełnienie swoich najśmielszych marzeń, nie tylko przy pomocy maszyn zajrzała na drugą stronę Księżyca, nie tylko wysłała ludzi, aby sobie Księżyc z „bliska" obejrzeli, ale też wydelegowała tam swoich przedstawicieli, aby stanęli na Księżycu. Wysyła tam też mądre maszyny, które na Księżycu lądowały i jeżdżąc po nim, prowadziły badania.

Powiedzieć: człowiek spacerował po Księżycu, to wobec tego, czego już dokonał jest mało, bo człowiek był na Księżycu, pokonał jedną z kolejnych barier niemożności, pokonał siebie. Ale wobec tego, co człowiek planuje, jakie ma zamiary, lądowanie ludzi na Księżycu było zaledwie spacerkiem, rekonesansem, przedsmakiem ogromu pracy, jaka stoi przed ziemską kosmonautyką.

W 1961 roku opracowano program wyprawy na Księżyc, któremu nadano miano **„APOLLO"**. Jeszcze musiały minąć trzy lata nim wystartował pierwszy statek kosmiczny z serii „Apollo". Stało się to **28 maja 1964 roku.** W historii kosmonautyki nie jest to wszakże data stanowiąca granicę określonego etapu rozwoju. W 1964 roku rakieta „Saturn" wyniosła w przestrzeń kosmiczną drugi statek „Apollo — 2". Trzeci statek kosmiczny z tej serii powędrował w przestrzeń kosmiczną w 1965 roku. Rozpoczęły się przygotowania do wyprawy człowieka na Księżyc. Naszego naturalnego satelitę penetrowały też sondy i satelity księżycowe: „Rangery", „Surveyory" i „Lunar Orbitery".

Kosmiczną wyprawę na Księżyc można byłoby porównać do wypraw odkrywczych dokonywanych tu na Ziemi, kiedy to badano naszą planetę i odkrywano nowe lądy. Księżyc też był takim „nowym lądem", tyle że leżącym w przestrzeni kosmicznej, wiadomo było o nim od dawna wiele i trzeba było tam dotrzeć. Ale takie porównanie byłoby całkowicie błędne. Wyprawę na Księżyc trzeba było dokładnie przygotować, trzeba było przewidzieć wszystkie możliwości, wszystkie przeszkody, wszelakie niespodzianki, jakie mogłyby zdarzyć się astronautom w czasie takiej wyprawy. A przecież jednocześnie autorzy programu takiej wyprawy, konstruktorzy aparatów i urządzeń mieli świadomość, że wszystkiego do końca nie da się przewidzieć. I wiedzieli również że astronautom tam, w przestrzeni kosmicznej, nikt już nie przyjdzie z pomocą. Żadna ratownicza wyprawa nie ruszy na ich poszukiwanie, jak to się zdarzało podczas wielu ziemskich wypraw odkrywczych.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

SPACER

Nim jeszcze astronauci ruszyli w przestrzeń kosmiczną, aby dokonywać niezliczonych prób, aby badać i sprawdzać ziemskie założenia głównej księżycowej wyprawy, zdarzył się wypadek, który potwierdził to, co wiedzieli autorzy programów i konstruktorzy wszelakich urządzeń, że przy największej wyobraźni wszystkiego nie da się przewidzieć. 27 stycznia 1967 roku podczas prób w kabinie statku „Apollo" umieszczonej na szczycie rakiety „Saturn" nastąpiło zwarcie instalacji elektrycznej, zapaliło wszystko co mogło się zapalić i paliło się tak szybko w atmosferze czystego tlenu, że nie udało się uratować astronatutów: V. Grissoma, R. Chaffee'a i E. White'a.

Ale próby trwały nadal. Załogi przewidziane do różnych z kolejnych statków „Apollo" trenowały w symulatorach. Im więcej treningu na Ziemi tym więcej bezpieczeństwa w Kosmosie i na Księżycu — mówili instruktorzy i specjaliści. Astronauci

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELEC, witold SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMANSKI.

dom nad jeziorem

Dalszy ciąg ze str. 1

a w użyciu jodyna i bandaże. „Długi" ją załatwił wbijając kły w łydkę. Stary, kudłaty „Kleksik", przywieziony z Łodzi, jest łagodny i przyjacielsko usposobiony, natomiast „Długi", niewielki pies z domieszką wilczej krwi, to zwierzę chytre, podstępne i wredne, ale czujne i groźne, co na tym odludziu bardzo się liczy. „Długi" bawi się z prosiętami i z kotem, ale cudzego kota z miejsca rozedrze.

Dom jest solidny, obszerny, na potężnych fundamentach z kamienia, ale wymaga remontu; po adaptacji znajdą się w nim dodatkowe pokoje na piętrze. Stoi w otoczeniu drzew, część brzóz dawny właściciel wyciął, ale i tak jest zielono, zacisznie. Obejście znajduje się pośrodku pól, wszystkie w jednym kawałku tworzą niemal kwadrat i liczą piętnaście hektarów. Tylko jak na ironię urząd gminy nie wyznaczył jeszcze dokładnych granic. W chlewie jest 6 macior i knur, kilkanaście warchlaków, po podwórku biega osiemnaście prosiąt. Jest jeszcze koń, krowa, jałówka, kilkadziesiąt kur, dwie owce i trzy jagnięta. Żeby to wszystko wykarmić, pozałatwiać sprawy w gminie, trzeba dużo siły i zdrowia bo odległości są znaczne: do szkoły w Somacku 6 km, a do sklepu prawie dwa kilometry, tylko niewiele co kupi, nawet chleba w sobotę brakuje. Do poczty w Klusach 3 km. Do przystanku autobusowego idzie się przez las 4 km. Do Ełku 26 km, a do gminy w Orzyszu 15 km. Jeśli chce się załatwić coś w gminie, cały dzień zmarnowany. A często trzeba jeździć codziennie po inną maszynę, bo SKR nie może się wyrobić. A najgorzej, kiedy się nie zastanie urzędnika w gminie.

W takich warunkach kobieta na dużym gospodarstwie nie dałaby rady. Henryk, mąż Ewy, krępy, spalony na słońcu, brodaty, o życzliwych, pogodnych, dużych ciemnych oczach jest mężczyzną wyjątkowym. Rolnik, wykwalifikowany ślusarz narzędziowy, murarz, zdun, stolarz (właśnie zastanawia się, czy zimą starczy mu czasu na wykonanie stylowych mebli do mieszkania) i... konserwator dzieł sztuki. Ściany zawieszone obrazami, oryginały i reprodukcje, pośród wielu portret Ewy w białym kapeluszu. Staję przed jednym z obrazów, wytrzeszczam gały i czytam: Henryk Wysmułek. A więc artysta malarz... Śmieje się, bierze kosę, ścina chwasty dla świń, potem bierze wiadro i idzie doić krowę. Skąd się taki wziął, gdzie się urodził?

— *Lubię takie życie* — wyjaśnia potem. — *Może właśnie dlatego spotkaliśmy się z Ewą? Te same charaktery, proszę pana. Jestem szczęśliwy, gdy nie widzę ludzi tygodniami...*

— *Ktoś ze znajomych oświadczył* — mówi Ewa — *że mam patologiczne skłonności do pracy. Wileńszczyzna i tradycje rodzinne... Mieszkając w Łodzi miałam już gospodarstwo na Mazurach, nad Krutynią. Pół hektara pola i dom. Dom wyremontowałam, pole ogrodziłam i sama posadziłam 100 jabłoni, 30 śliw i 80 krzewów porzeczek. Potem sprzedałam i zaczęliśmy się rozglądać za gospodarstwem w okolicach Łodzi. Było jedno koło Łasku, ładne, ale ziemia V i VI klasy, no i za blisko miasta, 2 km od fabryki mebli. Przyjechaliśmy do gminy Orzysz na Suwalszczyźnie. Naczelnik musiał pokazywać na mapie, gdzie leży gospodarstwo, bo chodziło nam także o pejzaż, to pomaga człowiekowi na co dzień. Za czwartą przymiarką trafiliśmy do Ogródka.*

Wieś Ogródek nad jeziorem o tej samej nazwie, które ciągnie się kilometrami aż po Klusy. I ten ich dom na krańcu wsi, a za domem, na południe, pagórkowata łąka, łagodnym stokiem opadająca ku jezioru. Zatoczką wchodzi w las, pływają łabędzie. Ich własna łódź u brzegu. Pięknie, cicho, uroczo. I twarde życie. Życie właściciela, od którego przejęli to gospodarstwo to też powieść, z dramatyczną fabułą. Rolnik z krwi i kości, obok wzniesionych z kamienia obór i stodoły postawił nowoczesną chlewnię, a potem żona złamała kręgosłup, dwie córki i dwaj synowie uciekli do miasta. Został sam i musiał oddać gospodarstwo za rentę. Kupił sobie na wsi domek i nadal pracuje na małej działce.

Henryk zaadaptował chlewnię na bukaciarnię i rozpoczęli kooperację z Ełckim Kombinatem Rolnym. Najpierw przyjechał sam dyrektor naczelny, rozparł się na wersalce i oświadczył, że musi wszystko obejrzeć, bo powierza im majątek narodowy wartości 300 tys. zł. Dobry gospodarz. A 50 bukatów przywieziono z Rzeszowskiego, 4 dni były w drodze i każdy stracił średnio na wadze po 10 kg. Sprzedano im te opasy według wagi przed wysyłką, a więc zapłacili za 500 kg żywca, którego nie było, w I klasie, po 38 zł za kilogram. Po kilku dniach okazało się, że wszystkie byczki są chore na biegunkę i wirusowe zapalenie płuc. Leczyli je tygodniami, 15 poszło do rzeźni. Sześć padło, jednego byka trzeba było łopatami zbierać, bo się rozłożył w gorące dni i nie miał go kto zabrać. Pozostałe miały być odebrane przez kooperanta do 15 października a zostały odprowadzone (3 km drogi), chociaż powinny być odwiezione, dopiero 7 listopada. PGR paszy im nie dał, toteż przez trzy tygodnie paśli je na resztkach buraczanych i na lucerniakach. PGR kupił je od nich w II klasie, po 27 zł za kg. Ogromne straty, Henryk tak się tym przejął, że na tydzień poszedł do szpitala z podejrzeniem zawału, a ona została sama z tymi bykami i dźwigała codziennie 300 wiader wody, żeby je napoić. Do niedawna dźwigało się 200 wiader wody dla świń, teraz jest wąż gumowy, to lżej.

Ewa pisała w sprawie byków do „Polityki" i „Trybuny Ludu", ale nie ma jeszcze odzewu. Nie takie historie tu się zdarzają. Ewa twierdzi, że nie przyjechała tutaj po to, żeby zaraz się ujawniać, kto to ja nie jestem, i korzystać z przywilejów. Pewnie dlatego świnie zaczęły się jej topić w gnojówce, bo SKR nie opróżniał szamba. Do Suwałk daleko, napisała więc do sekretarza propagandy KW, żeby umówić się na dzień i godzinę w celu omówienia ważnej sprawy. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

Życie wali ją ostro ze wszystkich stron, a ona nie ucieka, nie załamuje się. Dlaczego? I jaka jest motywacja osiedlenia się tutaj? Czy tylko chęć pójścia „na swoje"?

— *Nie tylko, chociaż to również wchodziło w rachubę. W Łodzi sama się izolowałam. Nie lubię ludzi. A poza tym był taki okres, że pozostawałam bez pracy. Musiałam utrzymywać się z pisania i pisałam książki, które mogłam szybko sprzedać. Dlaczego? Starsza córka, która maluje i studiuje obecnie filologię, miała wówczas 12 lat, młodsza, Kasia, ta, co dzisiaj przyniosła świadectwo ukończenia podstawówki z „czerwonym paskiem", miała 8 lat i chorowała na zapalenie mięśnia sercowego. Nie mogłam jej zostawiać bez opieki, a tymczasem proponowano mi pracę w WFO, co wiązało się z kolaudacjami i pracą poza godzinami. Brałam spotkania autorskie, których nie lubię. To było poniżające, ogarniał mnie wstyd, gdy bibliotekarka wypłacała mi połowę swojej miesięcznej pensji. Uznawałam, że uczciwie mogę zarobić tylko na wsi. Nie kłaniać się i nie podlegać układom, nie stawiać wódki. Tu wszystko zależy od mojej sprawności i chęci do pracy. Tu będę mogła pisać to, co chcę, całkowicie niezależna od faceta w wydawnictwie, który „pisze" za mnie książkę. Tak było z moimi pierwszymi książkami. Dopiero, gdy trzecią z kolei złożyłam w „Czytelniku", potraktowano mnie z powagą i szacunkiem. To mnie uskrzydliło. I teraz dopiero zacznę naprawdę pisać! Na wsi rozszerzam swoją wolność osobistą, uczę się tego wszystkiego, czego nie mogło mi dać miasto. Tamto środowisko odarło mnie ze złudzeń, przekonałam się, że pisarz to zwykły człowiek. Chcę pozostać tylko Ewą Ostrowską, bo zawsze nią byłam, bez względu na stosunki i układy...*

Zakłada rękawice, rwie pokrzywy, tnie na kawałki, miesza ze śrutą i z wodą, karmi prosięta, otacza ją wrzaskliwe stado kur. Potem nosi wodę z sadzawki za domem i podlewa warzywnik. Susza, od pięciu tygodni nie padało. Henryk usiłuje wbić widły w ziemię na łące, ale nie wchodzą, gliniasta ziemia zamieniła się w twarde klepisko.

Lasy przesłania mgielna zawiesina, niebo zaciąga się chmurami, od jeziora zawiewa porywisty wiatr. Obserwują te zjawiska z nadzieją i utęsknieniem. Będzie chyba nareszcie padać, toteż od rana bierzemy się do siana. Henryk zgarnia siano na wały konną zgrabiarką, a ja z jego synem, chudym jak tyka, długowłosym dwudziestolatkiem, robimy to grabiami. Chłopak ma wykształcenie rolnicze, ale uznał, że w rolnictwie za dużo kłopotów i dlatego idzie na ochotnika do wojska. Młodzi uciekają ze wsi, bo rolnik nie ma dostatecznej ilości maszyn i wciąż uzależniony jest od różnych instytucji. Na 15 ha można wyprodukować 20 ton mięsa rocznie, ale żeby to osiągnąć, trzeba włożyć w komplet maszyn dwa miliony złotych, bo na SKR nie ma co liczyć. Henryk ma kartę gospodarstwa specjalistycznego, zawarł umowę z SKR na kompleksowe uprawy, lecz mały z tego pożytek. Na polu widać kępki zboża, jakby wróbel nacpał, a buraków prawie wcale nie widać. SKR zapłaci za szkody, ale dopiero po procesie sądowym.

Stawiamy kopki, te na szczycie pagórka rozwiewa wiatr. Siano krótkie, słabe, z hektara łąki starczy dla krowy. Drugi pokos będzie dla konia i owiec. Podczas zakurek gadamy o gospodarstwie.

— *Straty na bykach trochę mnie załamały. Gospodarstwo było dzierżawione, bank naciskał do kupna. Kosztowało to nas 630 tys. zł. Zdecydowaliśmy się na świnie, gmina też tego chciała. Zaadaptowałem chlewnię na wychów opasów, teraz musiałem wszystko przerabiać. Zacząłem od własnej maciory, która okazała się... kanibalką. Wziąłem z gminy 4 maciory po 80 kg, trzeba było je odchować, żeby można było zapłodnić. No i zaczęło się...*

Maciory są ogromne, ze znakomitej rasy, nazywają je pieszczotliwie „Małą", „Gwiazdeczką" i „Elzą", ale Henryk pewnie je zlikwiduje, bo mają utajone ruje i również przynoszą straty. Z hodowli jednak nie zrezygnuje, wykopał już fundamenty i powiększy chlewnię, tak że zmieści się w niej osobno 60 tuczników i osobno 10 macior, żeby miały spokój. Knur także znajdzie się w osobnym pomieszczeniu. Dzięki tej inwestycji część długu będzie umorzone i kupi za 40 tys. „gazik", bo kiedy droga rozmięknie, innym samochodem nie dojedzie do gospodarstwa.

Wraca wspomnieniami do zimy. Była okropna, musiał zbudować sanie, żeby dotrzeć do wsi, a ich przyjaciel, pan Marek, dostawał się do nich na nartach. PGR nie odgarniał drogi do Samocka (6 km) i dzieci przez miesiąc nie chodziły do szkoły. Potem autobusu nie było widać w zaspach, a tutaj, w zagłębieniu na łące, śnieg leżał do 10 kwietnia i jak rozsiewali nawozy, to ciągnik nawet nie zapadł. Sarny wyginęły, dziki przychodziły do podwórza. Ale nie tylko one. Przeżywali tej zimy inwazję szczurów i myszy, które biegały po sprzętach, po firankach i w ścianach. Rozsypał po całym domu trutkę i przez trzy tygodnie przeżywali kolejną inwazję. Smrodu...

Pod wieczór popadało. Tyle, co kot napłakał. Przy kolacji pytam Ewę Ostrowską o książki i o pracę pisarską. W trakcie jej pobytu na wsi ukazały się dwie powieści: „Pamiętaj o Róży" w MON i „Długa lekcja" w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej. Za tę ostatnią dostała nagrodę główną, doroczne wyróżnienie dla autorów książek młodzieżowych. Wyróżnienie otrzymał I. Neverly, a nagrodę specjalną S. Szmaglewska. Wojciech Żukrowski stwierdził, że jest to najbardziej obiektywna nagroda, bo w Warszawie nikt nie słyszał o Ewie Ostrowskiej. Symptomatyczne. A kiedy się dowiedział, że hoduje na wsi świnie, zaczął sprawdzać, czy ona faktycznie należy do ZLP. To też symptomatyczne

— *„Pamiętaj o Róży" określa się jako udany, zgrabny kryminał.*

— *Ale nie wydany w tej serii. Trudno napisać taką powieść, trzy razy ją przerabiałam. Nie chciałam siedzieć w jednym temacie, tematyka obyczajowa i kobieca, trochę sentymentalna już mi nie wystarczała. Chciałam narzucić sobie dyscyplinę, popracować nad logiką dramaturgii, nad specyfiką stylu. No i chyba wyszło. Niedługo ukaże się w LSW moja powieść pt. „Sowa się śniła". Napisałam ją szybko, spontanicznie, tutaj na wsi, chociaż pomysł nie wyniknął z mojego tu pobytu, po prostu są tematy, z którymi się chodzi przez lata. Byłam kiedyś na ostatkach na wsi mazurskiej i pośród ogólnej wesołości, jak grom z jasnego nieba spadła wieść, że powiesił się młody chłopak. I wtedy ludzie sami zaczęli jak gdyby pisać przede mną powieść, swoim zachowaniem, domysłami i postawą. Na wsi, mimo telewizorów, panują obyczaje średniowieczne. Mentalność się nie zmieniła, nie ma już dawnej solidarności, każdy chce się bogacić na siłę. Może dlatego, że wieś była zawsze biedna?*

Siedzimy długo w noc, Ewa dużo pali, pokasłuje, opowiada. W „Zielonym Sztandarze" poszło dwadzieścia odcinków „Sowa się śniła" i czytelnicy zareagowali bardzo żywiołowo. Język jest dosadny, sytuacje drastyczne, ale Ostrowska uważa, że trzeba brać sytuacje ostateczne, krańcowe. Wsadzić paczkę przyjaciół do łodzi, wywalić i patrzeć, jak będą się zachowywać. Ludzie potrafią być okrutni. W lipcu musi skończyć kolejną powieść pt. „Co słychać za tymi drzwiami?" Trudna książka, o młodzieży, ale nie tylko dla młodzieży. Mówi o trzech młodych dziewczętach, o ich konfliktach życiowych. Ewa nie chce traktować młodzieży infantylnie, dydaktykę odsuwa na bok, stawia na psychologię. Ma zawarte dwie umowy na kolejne powieści...

— *Odżywają moje dawne przygody dziennikarskie, na wsi zaś przybywa mi masa realiów i wiem, że wrócę do pewnych spraw, ale już bez ograniczeń. Uważam, że pisarze wcale nie muszą spotykać się na zebraniach, wymieniać poglądy i analizować swój warsztat twórczy. Z tego nie wynikną dobre książki. Pisanie to intymna sprawa, jakże się więc tym dzielić?*

W jej oczach maluje się znużenie, ale w głosie brzmi entuzjazm, upór i stanowczość. Nie szuka towarzystwa pośród inteligencji wiejskiej, chociaż to także byłoby ciekawe, wszystko trzeba poznawać. Zresztą nie ma czasu na towarzystwo. A na pisanie? Pisze dorywczo, między zajęciami i sama się dziwi, że tak wspaniale potrafi się koncentrować.

Pochyla się nad łóżeczkiem, poprawia troskliwie pled. Półroczny Witek, z figlarnymi niebieskimi oczkami i śmiesznym czubem na głowie, uśmiecha się przez sen. Zdecydowała się na dziecko. Mimo nawału zajęć gospodarskich, i pisania, i tylu kłopotliwych spraw, których życie jej nie szczędzi.

— *Nam z mężem bardziej z górki niż pod górkę, dzieci z naszych małżeństw wyrosły, w tym roku opuszczają dom. I człowiek zostałby sam, a tak, jest ten mały. Dla kogo mielibyśmy dźwigać to wszystko? Dziecko to szalony bodziec, to sens istnienia i tej ciężkiej pracy. Ono również pomaga mi w pisaniu, chociaż wydawałoby się, iż raczej przysparza kłopotów. Tu, kiedy jestem daleko od miasta, dopiero dobrze się czuję. Niełatwo mi, ale jestem szczęśliwa...*

Trzeciego dnia wieczorem, kiedy odjeżdżałem do Ełku, padał ciepły, rzęsisty deszcz. Spękana gliniasta ziemia nasączała się wilgocią, granatowa tafla wody na jeziorze, pocięta strugami ulewy, wzdymała się gwałtownie pod naporem silnego wiatru, a znękane rośliny, blade i rachityczne, nabierały soczystej zieleni. Ale w nocy deszcz zapewne ustanie i rankiem ponad samotnym domem nad jeziorem, znowu zaświeci słońce.

RYSZARD BINKOWSKI

PO 10 LATACH

PO KSIĘŻYCU

trenowali do znudzenia, bólu i zniechęcenia. Rosło napięcie. Ciągła była niepewność, kto i kiedy poleci? Ciągle trzeba było żyć w pogotowiu, a wokół toczyło się normalne życie.

I tak, nim ruszyli w przestrzeń, aby pokonać to, co wielu wydawało się niemożliwe, musieli pokonać siebie, pokonać własne słabości, pokonać swoje upodobania, przyzwyczajenia, zmienić siebie. To nie była praca łatwa.

Zorientujmy wydarzenia tu opisywane w historii kosmonautyki. Pierwszy w Kosmos poleciał Jurij Gagarin 12 kwietnia 1961 roku. W przestrzeni kosmicznej była już w czerwcu 1963 roku Walentina Tierieszkowa. W marcu 1965 roku orbitował w przestrzeni kosmicznej Aleksiej Leonow. W Kosmosie byli już również astronauci amerykańscy. 20 lutego 1962 roku wystartował w przestrzeń kosmiczną na statku „Mercury MA-6" John Glenn. W marcu 1965 roku polecieli w Kosmos statkiem „Gemini-3" Virgil Grissom i John Young. Dokonano też na orbicie okołoziemskiej połączeń dwu różnych statków wysłanych z Ziemi, co było niezbędnym przygotowaniem dla dalszego rozwoju kosmonautyki, a w tym i dla lotu statku „Apollo" w stronę Księżyca.

Dopiero w czasie siódmej wyprawy „Apollo" wystartowali na orbitę okołoziemską trzej amerykańscy astronauci: Walter Schirra, Donn Eisele i Walter Cunningham. Był to pierwszy lot załogowy w realizacji programu „Apollo". Stało się to 11 października 1968 roku. W grudniu 1968 roku w przestrzeń kosmiczną wystrzelono statek „Apollo-8". Jego załoga: Frank Borman, James Lovell i Wiliam Anders dziesięciokrotnie okrążyła Księżyc. Dokonano więc szeregu prób, które zakończyły kolejny etap przygotowań do lotu na Księżyc.

Statek kosmiczny „Apollo" w przestrzeń kosmiczną wynosi rakieta „Saturn". Wynosi go na orbitę parkingową. Stąd rozpoczyna się dalszy etap podróży. Trzeci człon rakiety „Saturn" odpala i „Apollo" rusza ku Księżycowi. Kiedy znajdzie się już na orbicie okołoksiężycowej, wtedy nadchodzi moment odłączenia się „LM" — Lunar Module", inaczej lądownika księżycowego. Statek „Apollo" składał się z trzech części: „Command Module" — pomieszczenia dla trzyosobowej załogi, „Service Module" — pomieszczenia z przyrządami i napędem oraz „Lunar Module" — lądownika księżycowego. W czasie lotu z orbity parkingowej w stronę Księżyca „CM" wraz z „SM" odłączały się od trzeciego stopnia rakiety „Saturn", obracały się o 180 stopni i ponownie łączyły się z trzecim stopniem „Saturna", w którym tkwił „LM". W manewrze tym chodziło o to, aby teraz „CM" był połączony bezpośrednio z „LM", aby możliwe było przejście astronautów z „CM" do „LM". W momencie startu z Ziemi „CM" od „LM" oddzielał „SM".

Taką operację po raz pierwszy dokonali astronauci podczas lotu „Apollo-9" w marcu 1969 roku. Wtedy to James Mc Divitt i David Scott przesiedli się do „LM", a w „CM" pozostał Russel Schweickart. Oddalili się od statku na 188 km i powrócili, szczęśliwie cumując. Ostatnie przygotowania do startu na Księżyc zostały dokonane. Jeszcze tylko „Apollo-10" w maju 1969 roku ruszył w podróż do Księżyca, aby dokładnie zbadać miejsce przyszłego lądowania. Thomas Stafford i Eugene Cernan w „LM" zbliżyli się na 15 km do powierzchni Księżyca i wszystko było gotowe.

„Apollo-11" z załogą: Neil Armstrong, Michael Collins i Edwin Aldrin wystartował 16 lipca 1969 r. Historyczne lądowanie człowieka na Księżycu odbyło się **20 lipca 1969 r.** W „LM" **lądowali na Księżycu Neil Armstrong** i **Edwin Aldrin.** 21 lipca 1969 roku Neil Armstrong jako pierwszy człowiek postawił nogę na Księżycu. W Polsce dochodziła godzina 4. Tysiące ludzi siedziało przed telewizorami i patrzyło na ten historyczny moment. Dzięki telewizji byli świadkami tego, co się stało rankiem 21 lipca 1969 roku na dalekim a już bliskim Księżycu. Później z „LM" zszedł na księżycowy grunt Edwin Aldrin. Na Księżycu było już dwóch ludzi. Widziały to miliony ludzi na całej Ziemi i miliony ludzi tego nie widziały, nie domyślając się nawet, że w historii ziemskiej cywilizacji dokonał się nowy, milowy krok. Neil Armstrong i Edwin Aldrin pozostawili na Księżycu wiele śladów bytności tam człowieka. Na podstawie „LM", która posłużyła następnie jako platforma startowa dla kabiny „LM", pozostawiono plakietkę z napisem:

„Tutaj ludzie z planety Ziemia dotknęli po raz pierwszy stopą Księżyca. Lipiec, rok 1969 naszej ery. Przybyliśmy w celach pokojowych w imieniu całej ludzkości".

Jest to jeden z wielu śladów ludzkiej działalności człowieka na Księżycu. Są tam bowiem resztki sond księżycowych radzieckich i amerykańskich, są opuszczone „Łunochody" i inne urządzenia.

W sumie astronauci amerykańscy odbyli siedem wypraw na Księżyc. „Apollo-15" przetransportował na powierzchnię Księżyca „łazik księżycowy". Wyprawa „Apolla-17" zakończyła program księżycowy NASA. W 1975 roku użyto jeszcze raz statku „Apollo" do połączenia się na orbicie okołoziemskiej z radzieckim „Sojuzem". Była to pierwsza radziecko-amerykańska wyprawa kosmiczna i miejmy nadzieję, że nie ostatnia.

Człowiek był już na Księżycu. Radzieckie i amerykańskie sondy lądowały na Wenus i Marsie. Sondy krążą po Układzie Słonecznym dostarczając nam coraz to nowych informacji o planetach. Poszerza to naszą wiedzę astronomiczną, rozwija kosmonautykę, ale ciągle jeszcze ludzkość stoi przed wieloma pytaniami, na które albo nie znajduje wyczerpujących odpowiedzi, albo zadowala się tylko niedoskonałymi hipotezami. Ale człowiek, powodowany chęcią poznania, nie ustaje w realizacji swoich marzeń o możliwości podróżowania w Kosmosie.

ŻYWOT NIEOSOBLIWY

Dalszy ciąg ze str. 1

ci) był fakt, że często poprawiał okulary na nosie. Pracował niewątpliwie dużo, trzeba było w niełatwych przecież warunkach przywrócić życie szkolne, a mimo to pojawiał się często wśród uczniów. Nie strofował ich po prostu był wśród nich obecny.

Byliśmy bardzo zajęci sobą i swymi powojennymi sprawami. Cóż mogłem wiedzieć o dyrektorze szkoły, o tym, co go wtedy trapiło, absorbowało? Dlaczego był taki a nie inny, skąd się wywodził, co go ukształtowało, co poprzedziło jego przybycie, jak się okazuje: powtórne — do tej szkoły? Dowiaduję się o tym dopiero dziś, czytając jego pamiętniki.

* * *

„Po upadku powstania warszawskiego z początkiem października 1944 roku wyniosłem się z żoną i synkiem z Głowna na wieś Kamień. Była to maleńka wiocha, leżąca z dala od ważniejszych dróg, gdzieś między Głownem a Rogowem.

Zaprosił nas do siebie gospodarz — wspaniały, mądry chłop, przed wojną działacz ludowcowy, obecnie wysiedlony ze wsi Lubowidze. Jego syn, Bolek, smukły szesnastoletni chłopak, był uczniem klasy czwartej gimnazjalnej na kierowanym przeze mnie kompleccie tajnego nauczania. Gospodarze, a zwłaszcza — gospodyni, okazali się bardzo gościnni. Odstąpili nam jedną izbę, sami zajęli drugą i kuchnię, w której sypiało w jednym łóżku dwoje sierot z powstania przygarniętych przez nich. W sionce biegnącej przez środek chałupy zainstalowano bimbrownię.

Ciągły bulgot dochodzący z olbrzymiej kadzi początkowo irytował, nocą odbierał sen, ale po iluś tam dniach zupełnie się do niego przyzwyczailiśmy, stał się niezbędnym elementem tego domu, a nocą — usypiał.

Moi gospodarze oprócz Bolka mieli jeszcze jednego syna, wysokiego osiłka — Janka i córkę zamężną, mieszkającą na drugim końcu wsi. Ich zięć — obrotny, szczupły, sprytny „śpiekulant", jak go nazywał gospodarz, kiedyśmy się bliżej poznali, przyniósł z sobą jakiś podręcznik arytmetyki i poprosił, bym mu pomógł z niego się uczyć. Był to chyba podręcznik dla szkół handlowych podający różne sposoby uproszczonych, przyśpieszonych działań rachunkowych. W krótkim czasie i na tej wiosce zorganizowałem komplet tajnego nauczania na poziomie gimnazjalnym: kilkoro młodzieży chętnej się znalazło (szła przecież zima), kilka dziewcząt i chłopców ściągnęło i z sąsiednich wsi. Spośród warszawiaków, którzy po powstaniu tutaj znaleźli schronienie, odkryłem profesora szkoły Wawelberga: wziął matematykę, fizykę i chemię, jego córka biologię, geografię i bodaj język angielski, ja język polski, historię, łacinę. Na utrzymanie swoich najbliższych i siebie zarobiłem".

* * *

A więc wątek „głowieński". Zarysowało się tło sprawy, o której dowiedziałem się przypadkowo przy okazji nagrania radiowego w Głownie. Moi rozmówcy wspomnieli o tym, że Mieczysław Woźniakowski był jednym z filarów tajnego nauczania w tym mieście. Pokazano mi pamiątkowe zdjęcie „profesora" — jak go tu tytułowano — z grupą wyrośniętej młodzieży. To pośrednie spotkanie z moim byłym dyrektorem szkolnym miało miejsce przed rokiem, ale tym bardziej zapragnąłem się dowiedzieć, w jakich okolicznościach objął w roku 1945 kierownictwo szkoły?

* * *

„Na pierwszym zebraniu nauczycieli w wyzwolonej Łodzi spotkałem Henryka Wysznackiego. Był to przed laty nauczyciel Gimnazjum Miejskiego, które ukończyłem w roku 1928, teraz naczelnik czy też ławnik Wydziału Kultury i Oświaty w Zarządzie Miasta Łodzi. Łączyły go przyjacielskie stosunki z Zygmuntem Lorentzem, moim nauczycielem historii z czasów gimnazjalnych, a podziemnym kuratorem łódzkim w okresie okupacji. Tenże Zygmunt Lorentz nocował u niego, kiedy wybrał się we wrześniu 1943 roku w swoją tragiczną, niepotrzebną podróż z Warszawy do Łodzi. Wysznacki wiedział o moim serdecznym stosunku do Zygmunta Lorentza, z którym współpracowałem w podziemnym kuratorium.

— Panie Mieczysławie, Bóg chyba mi pana zesłał! Bo ja się tu głowię, komu powierzyć organizację Gimnazjum Miejskiego. Lorentz i Hajkowski nie żyją, dyrektor Starkiewicz w Busku u swego brata. Nie wiadomo, w jakiej formie, czy i kiedy wróci do Łodzi... Nie ma na co czekać! Formalności z kuratorium zaraz załatwię.

...Za kilka, może za kilkanaście dni wypełni się cały ten gmach kilkuset chłopcami, a ja w każdym z nich odnajdywać będę siebie w ich wieku. Ja się od tych wspomnień-skojarzeń nie uwolnię. Już wtedy, w tym pustym gmaszysku przeczułem to, co miało stać się faktem. Stąd — ostrożność, czasem niepewność — po czyjej stanąć stronie, po belferskiej, wszystkowiedzącej, czy po uczniowskiej — a więc mojej sprzed lat dwudziestu kilku?

...Żyłem pod naporem wspomnień, porównań moich własnych i moich z tej szkoły kolegów, żyłem pod naporem surowej oceny dawnych nauczycieli z jednej strony, i — Nowego: nowej sytuacji społeczno-politycznej, nowej polityki oświatowej, innej niż tamta młodzieży i innych, nowych nauczycieli.

...Ale już tego pierwszego dnia byłem świadom, że szkoła musi stwarzać przed uczniem jak najszersze i zróżnicowane możliwości wyboru. Tak jak to było w „mojej" szkole przed wojną: od Sodalicji do różnych dyscyplin sportowych, od zajęć technicznych do filozofii, od spółdzielczości do samodzielnego spreparowania szkieletu konia, od obcowania (również twórczego) z różnymi dziedzinami sztuki po naukę tańca i stenografii.

Kalokagatia — ten starogrecki ideał wychowania jakże pięknie był tu realizowany! Szkoła-budzicielka zainteresowań i uzdolnień drzemiących w każdym uczniu, szkoła ukazująca swoim wychowankom piękno i powaby życia, kształcąca wrażliwość na potęgę umysłu, na piękno przyrody i sztuki, na siłę zespołowego działania, na konieczność organizowania i współuczestnictwa w „walce z szatanem": krzywdą społeczną, wszelkim wyzyskiem i uciskiem...

Jak się taką szkołę tworzy, jak ją tworzył on — mój poprzednik Leon Starkiewicz? Ach, powitać go w tej szkole z szacunkiem i przekazać ster w jego godniejsze ręce...

Napisałem do Buska, odpisał, że nie wróci do Łodzi. Jest schorowany, a poza tym nie jest pewien, czy podołałby w tych warunkach, tym bardziej, że nie miałby obok siebie tak wartościowych ludzi jak dwaj Zygmuntowie: Lorentz i Hajkowski...

A więc trzeba wziąć się w kupę i do roboty!"

* * *

Po pięciu miesiącach rozstałem się z tą szkołą i przeniosłem się na tzw. kursy semestralne, aby „dogonić" stracone lata. Dyrektora Woźniakowskiego straciłem z oczu. Miewałem jednak relacje o nim od mego młodszego brata, Stanisława, który zaczął uczęszczać do Trzeciej TPD" jak wówczas szkołę nazywano. Życie uczniowskie kwitło tam bardzo bujnie, i to wielokierunkowo. Pamiętam pewne wydarzenie o posmaku anegdoty. W „Trzeciej TPD" odbywał się międzyszkolny konkurs recytatorski pod patronatem kuratorium, szkoły i kilku młodzieżowych organizacji. Brat mój recytował w tym konkursie „Nóż" Tuwima i zajął pierwsze miejsce. Otrzymał w nagrodę szereg kompletów dzieł zebranych klasyków literatury i wydanych świeżo klasyków marksizmu. Było tego tyle, że w żadnym razie nie doniósłby książek do domu, musiał więc wynająć dorożkę. Tą dorożką zajechał właśnie triumfalnie do domu.

Mieczysław Woźniakowski — prezes Tow. Przyjaciół Łodzi.
Foto: R. Łucyszyn

* * *

Mieczysław Woźniakowski mówi:

— Mój rodowód jest typowy dla tego miasta. Łódź rosła, pierwsze pokolenie robotników łódzkich wywodziło się ze wsi, i te więzi ze wsią były bardzo żywe. I to więzi obustronne. Z jednej strony robotnicy, którzy osiedlali się w Łodzi, mieli może nawet nieuświadomioną tęsknotę do ziemi. Jeśli tylko któryś dorwał jakiejś gotówki, kiedy fabryki lepiej szły, kiedy była koniunktura, a przy tym żył bardzo oszczędnie — wtedy kosztem ogromnych wyrzeczeń kupował sobie plac czy też pół placu, stawiał jakąś drewnianą budę, na środku lokował tzw. kozę czyli kanonkę, wytykał rurę przez dach, potem kupował kilka królików, gołębi, kur — i już miał swoje małe gospodarstwo. To był przejaw tej tęsknoty za ziemią.

Ale i rodzina, która pozostała na wsi, odwiedzała krewnych w Łodzi. A znów w czasie, gdy fabryki stawały, w okresie bezrobocia, odwiedzano wieś, która wtedy dawała możliwość przetrwania.

Moja rodzina po mieczu, ze strony ojca, pochodzi z Sieradzkiego, spod Złoczewa, a ze strony matki z Piotrkowskiego. Rzecz o tyle ciekawa, że ja nazywam się Woźniakowski, moja matka była z domu Woźniak, a jej ojciec wywodził się z gminy Woźniki.

Pamiętam nawet swojego pradziadka, który właśnie z tych Woźnik do Łodzi przywędrował. Opowiadał mi o tym, jak to jeszcze chodził „na pańskie". Był to człowiek bardzo wierzący, a jedno z przykazań kościelnych brzmiało: „Będziesz powinności pańskie pełnił". Czyli ten, kto nie wychodził na pańszczyznę, popełniał grzech. To był hardy chłop. Nawet jako starzec nie chciał być na niczyim utrzymaniu. Nie chciał nikomu nic zawdzięczać, chciał sam się utrzymać. Chorował na jaglicę, miał okropne oczy, powieki wywinięte, czerwone. W końcu oślepł. Wystawał przy Rzgowskiej w bramie, handlował cebulą. Na palcu trzymał hak z dwoma szalkami, taką ówczesną wagę. Był to okres pierwszej wojny światowej, kiedy u nas w obiegu znajdowały się różne monety: złotówki, halerze, marki, grosze, fenigi. A on nie zawsze mógł wymacać palcami, jaką mu monetę dają. Wmawiali w niego, że dobrą, często go oszukiwali.

Z ojcem pojechaliśmy kiedyś w jego rodzinne strony. Miałem wtedy chyba jedenaście lat, młodsi bracia odpowiednio mniej. Ojciec pokazał nam wieś i miejsce, gdzie stała jego chałupa. Tylko miejsce, bo chałupy już nie było. Rosły tam wątłe brzózki, ale on przed naszymi oczyma wyczarował jakby tę chałupę.

Babka moja umiała jeszcze prząść, ale nie na kołowrotku — na kądzieli. Pamiętam, jak to sprytnie robiła, jak ta nić równiutka i cienka wychodziła z kłębu pakuł. To wyniosła ze sobą ze wsi.

Pamiętam także dosyć zabawne zdarzenie. Mój wujek był nauczycielem na wsi, w Sędziejowicach. Prowadził tam amatorski teatr. Było to zaraz po pierwszej wojnie. Dziadek zabrał mnie ze sobą, mieliśmy do tego teatru zawieźć kostiumy. Wypożyczyliśmy je od pana Nabórowskiego, który mieszkał przy ulicy Benedykta, blisko placu Hallera, i prowadził wypożyczalnię kostiumów. Dał nam jakieś czaka ułańskie, szable, i z tym pojechaliśmy do Łasku, a stamtąd furmanką do Sędziejowic. No cóż, proszę pana, Sędziejowice... Nawet echa powstań narodowych gdzieś tam się w rodzinie plątały. W swej książce „Peregrynacje szkolne" zamieściłem zdjęcie z tamtych lat. Ustrojono mnie do tego zdjęcia w małą czamarkę i konfederatkę. To coś mówi.

W rodzinach były rozmaite układy. Ja jestem najstarszym synem mych rodziców. Mój ojciec natomiast był najmłodszym. A te rodziny były bardzo liczne, wielodzietne, tak że różnica wieku między mym ojcem a jego najstarszym bratem wynosiła ponad dwadzieścia lat. Babka, choć szczuplutka, drobna, wydała na świat mnóstwo dzieci. A ona sama urodziła się w czasie powstania listopadowego, miała więc trzydzieści trzy lata, kiedy wybuchło powstanie styczniowe. Opowiadała mi często o walkach powstańców na terenie Sieradzkiego, to wszystko zapamiętała, bo była już wtedy osobą dorosłą.

Teraz echa roku 1905. Ja urodziłem się w 1909, kiedy te echa były jeszcze świeże. Mój ojciec, nie wiem, czy to był świadomy wybór z jego strony, cie mówił mi, że należał do SDKPiL. I znów te różne układy, tym razem polityczne. Dziadek zatwardziały endek, katolik, a ojciec w SDKPiL. I co najbardziej zapisało się w rodzinnej pamięci z 1905 roku? Bratobójcze walki. Pamiętam, w domu była taka mosiężna trąbka, jako chłopcu bardzo mi się podobała. Kiedyś znalazłem ją w komodzie, schowaną głęboko pod bielizną: Podniósł się krzyk, gdy zobaczyli tę trąbkę w moim ręku. Trąbka-tabu, nie wolno było jej ruszać, a cóż dopiero w nią podmuchać. Okazało się, że to był instrument, którym dawano sygnały w razie napaści przez tzw. czarną sotnię. Ta czarna sotnia utkwiła mi w pamięci niczym jakaś groza, która wisiała nad ludźmi.

Mówiłem panu o „łódzkiej chłopskości". Przejawiała się ona w rozmaity sposób. Ludzie nie mówili na przykład, że „pracuję u Scheiblera, u Geyera czy u Leonharda" tylko mówili: pracuję u Scheiblerów, u Geyerów, u Leonhardów. Bo tak mawiało się o majątkach, które były własnością rodu, np. nie „u Stadnickiego", a „u Stadnickich".

Najstarszy syn z rodziny mego ojca ostał się na gospodarce. Stanisław mu było. Kiedy przekroczył sześćdziesiątkę, oddał gospodarkę synowi, a sam został, jak to mówiono, na wycugu u swoich dzieci. Ale to był chłop, który nie mógł spokojnie usiedzieć. Przyglądał się gospodarowaniu syna i synowej, i to gospodarowanie przestało mu się podobać. Więc odebrał im gospodarkę i sam zaczął na nowo gospodarzyć. Kiedyś, pamiętam, zimą, gdy było mniej roboty na wsi, przyjechał do Łodzi. Miał już wtedy chyba ponad osiemdziesiąt lat, ale był jeszcze chłopem krzepkim. Słuchałem takiej rozmowy, jak to trzech braci sobie gawędzi. Mój ojciec, szewc z zawodu, najmłodszy, Roman (mówili na niego Rumanek), średni, Feliks, i ten najstarszy, Stasiu. Więc on mówi do mego ojca tak:

— Patrz, Rumanek, ten Felek coś tak pokasłuje, skrzypi, a wiesz ty bez co? A bo bez to, że on nigdy nie pił i nie palił. Ja przez całe życie piłem i paliłem, no i popatrz, prowadzę jeszcze gospodarkę...

A po jakiejś chwili:

— Ale wiesz, co ci powiem? Tej dawnej siły to ja już nie mam. Jak mi trzeba pół metra kartofli na plecy wziąć, to nie mogę sam sobie zarzucić, muszę chłopaka wołać.

Trzeba tu dodać, że ten chłopak, jego syn, był już wtedy po sześćdziesiątce. No a brat ojca dociągnął prawie do setki, miał chyba dziewięćdziesiąt osiem lat, kiedy umarł. No więc taka to była rodzina. A potem, no to się rozleciała. Najstarsza siostra ojca wyjechała „za chlebem" do Brazylii i ślad po niej zaginął. Gdzieś przepadła w tych olbrzymich brazylijskich przestrzeniach.

Inni, jak to się mówi, wyszli na swoje. Stąd chyba bierze się ten mój sentyment do miasta, i to już od czasów dzieciństwa, które spędziłem na Chojnach. Ukończyłem przecież Gimnazjum Miejskie, a więc szkołę, którą ufundowało miasto, gdzie były najniższe opłaty, gdzie połowę uczniów stanowiły dzieci robotników, dzieci biedy. No, proszę pana, to drobiazg, aż śmieszne, ale niech to będzie powiedziane. Pamiętam, w roku 1922, po wakacjach, przyszedłem do trzeciej klasy. Przyszedłem w trepach, dzieci chojeńskie chadzały wtedy boso, a do szkoły zakładały trepy. I wtedy nauczycielka francuskiego, pani Peyserowa, wywołała mnie z klasy i w kąciku dała mi skórzane buty. Pierwsze skórzane buty dostałem tam w szkole.

Potem ukończyłem w Łodzi Wolną Wszechnicę i zdobyłem zawód nauczyciela. Wszystko zawdzięczam temu miastu. Dlatego dzisiaj, kiedy jestem już na emeryturze i pracuję w Towarzystwie Przyjaciół Łodzi, to wcale nie uważam, proszę mi wierzyć, że robię jakiś gest. Wcale nie. Ja, proszę pana, uważam się za dłużnika tego miasta i ludzi. Taki jest mój żywot nieosobliwy.

* * *

Skromny pokoik prezesa TPŁ mieści się w gmachu Historii Miasta przy ul. Ogrodowej. Tu zbiera się zarząd Towarzystwa, aby omawiać bieżące prace i plany na przyszłość, tu obradują zespoły jurorów różnych konkursów organizowanych przez TPŁ: konkursu na piosenkę o Łodzi, konkursu na pamiętniki łodzian z lat dawnych, z okresu okupacji, z pierwszych dni po wyzwoleniu.

— Marzy mi się śpiewnik łódzki — mówi prezes Woźniakowski. *— Inne miasta mają takie śpiewniki, jest śpiewnik warszawski, śpiewnik krakowski, a pielęgnujmy i my łódzką tradycję, która jest całkiem inna od tamtych szlachetnych, czcigodnych, wielowiekowych tradycji — ale my w zamian mamy tradycję nowoczesnego miasta. Niechby znalazł się w tym śpiewniku folklor miejski, który już zanika, pieśni rewolucyjne i robotnicze, no i oczywiście piosenki o Łodzi dnia dzisiejszego. Materiał jest już zebrany, rzecz teraz w tym, aby władze miasta wsparły nas finansowo, co nie jest, niestety, rzeczą łatwą. Także pamiętniki łodzian, jak sądzę, zasługują na wydanie.*

Nie przeczę, wiele się u nas zmienia, także w sferze życia kulturalnego.

Zaraz po wojnie Łódź była stolicą artystyczną kraju. Zrozumiałe, że nie mogło tak zostać, odbudowała się stolica, ale dlaczego nie próbowano zatrzymać w Łodzi, związać z nią przybyłych tu ludzi sztuki: pisarzy, aktorów, grafików, kompozytorów? Dlaczego pozwolono na tak gremialny exodus, nie stworzono im warunków choćby zbliżonych do tych warszawskich? Zresztą wielu wyjechało nie tylko do Warszawy, ale do Gdańska, do Wrocławia, a to daje wiele do myślenia. No a dzisiaj, po tylu latach? Dziś też najchętniej widziani są tu wróble, niech znajdzie się wśród nich kanarek, zaraz próbują go zadziobać...

Dlatego my ze swej strony staramy się tworzyć przyjazną atmosferę, powołując do życia Kluby Miłośników Teatru, Miłośników Literatury, Plastyki, Muzyki, organizując spotkania z twórcami, ustanawiając instytucję honorowych członków TPŁ, którymi zostają ludzie szczególnie zasłużeni dla miasta. Staramy się mieć też swoje wpływ w Komisji Nazewnictwa Ulic, aby nowe ulice opatrywano nazwiskami tych, którzy odegrali znaczącą rolę w historii Łodzi, także — w historii jej kultury.

Nie powiem, żeby nam się wszystko udawało. Czasem pomysł jest nie najlepszy, czasem coś nie wypali, a czasem wchodzą w grę tzw. przyczyny obiektywne. Zawsze wtedy ubolewam nad tym, rozważam, ile w tym mojej winy, bo może nie potrafiłem odpowiednio zagrzać do pracy, zmobilizować, przekonać kogoś wpływowego. Ale jeśli coś się udaje, ileż w tym fakcie satysfakcji.

Liczymy bardzo na młodzież. To wcale nie nasz wynalazek, tak postępują wszyscy, którzy myślą o ciągłości działania. Powołujemy więc do życia szkolne koła TPŁ, nagradzamy prace maturalne i dyplomowe o tematyce łódzkiej, wciągamy do współpracy młodych pracowników naukowych, nawiązujemy kontakty z PTTK, nakłaniając jego działaczy do powoływania kursów dla organizatorów turystyki łódzkiej. Bo wielu jeździ po kraju, a nie zna swego rodzinnego miasta.

Często wykorzystuję swoje dawne znajomości: te ze Związku Nauczycielstwa, z TPD, z okresu swej pracy w Kuratorium i na Uniwersytecie Łódzkim. Mam w Łodzi wielu dawnych kolegów i przyjaciół, mam swych uczniów na różnych stanowiskach, staram się do nich dotrzeć, aby coś tam załatwić dla TPŁ. Myślę, że to nic zdrożnego, że w tym wypadku kumoterstwo można rozgrzeszyć... No i nie opuszcza mnie myśl o następcach, choć coraz trudniej jest ich pozyskać. Ale kiedy ma się na karku siedemdziesiątkę, taka myśl jest całkiem na miejscu.

JEST TAKA SZKOŁA

Mimo, że jedyna w mieście, i że istnieje już prawie 5 lat, Państwowa Szkoła Baletowa jest społeczeństwu Łodzi mało znana. Utworzona w 1975 roku, dopiero w 1984 da scenom baletowym pierwszych upragnionych absolwentów.

Tyle bowiem — aż 9 lat — trwa tu nauka, dając wychowankom, oprócz zawodu tancerza, również ogólnokształcące wykształcenie i maturę. Do pierwszej klasy przyjmowane są dzieci po ukończonej trzeciej lub czwartej klasie szkoły podstawowej. Oczywiście muszą one mieć należyte predyspozycje zawodowe, potwierdzone specjalnymi badaniami prowadzonymi przez szkołę. Z naborem zresztą stale — w tym roku także — są kłopoty. Systematycznie brakuje chłopców, na których nadal, mimo zakończenia naboru, czekają wolne miejsca...

Trudna to szkoła — wymagająca pracowitości, wielkiego zdyscyplinowania, wytrwałości, no i... wysiłku fizycznego. Ale tylko wtedy można zostać tancerzem. Przeciętnie, w ciągu tygodnia dzieci mają 10 godzin lekcyjnych tańca klasycznego, 2 godziny tańca ludowego oraz 2 godziny rytmiki. A do tego od II klasy dochodzi jeszcze nauka gry na fortepianie. Wymagania nauczycieli są wysokie, lecz stawiają je. ludzie, którzy często sami są tancerzami, bowiem gros pedagogów to tancerze baletu Teatru Wielkiego.

Ta jedyna w swoim rodzaju szkoła mieści się obecnie — po kilku zresztą przeprowadzkach — przy ulicy Żeromskiego 10. Wszyscy — zarówno dzieci, jak i nauczyciele, z utęsknieniem czekają na dawno zapowiedziany, a jeszcze nie rozpoczęty, remont ostatecznej siedziby szkoły — pałacyku przy ul. Armii Ludowej.

Na razie zajęcia ogólnokształcące odbywają się przy Żeromskiego, natomiast lekcje baletu — w Teatrze Wielkim, dzieci więc codziennie odbywają podróż przez miasto pod czujnym i niespokojnym okiem nauczycieli.

Foto i tekst: RYSZARD ŁUCYSZYN

CYZELOWANIE ŻYCIORYSU

Zdzisław Szczepaniak

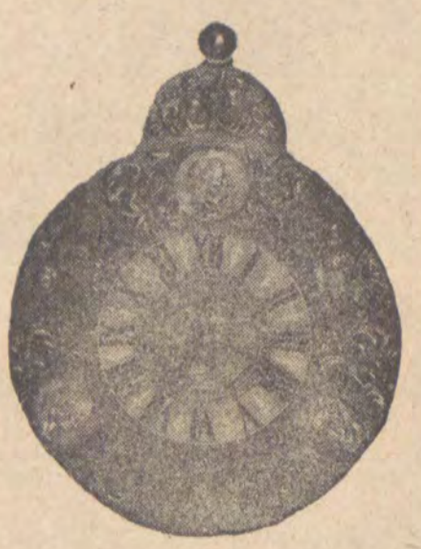

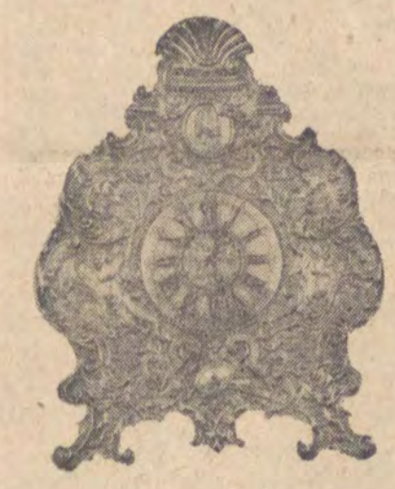

Ktoś się uśmiechnie — dziwna kariera! Dziwniejsze są jednak przekwalifikowania, np. z absolwenta archeologii na hodowcę brojlerów, z inżyniera na szwacza dżinsowych portek, lub z prawnika na... właściciela „butiku".

A cyzeler? Przede wszystkim — cóż to takiego? W tym momencie większość z zapytanych pobiegnie w stronę encyklopedii, ale są i tacy, którym intuicja podpowiada, że jest to zawód szlachetny, z gatunku wymierających, na których przyszłość i znaczenie zwróciła uwagę nie tylko odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie, czy wołanie o ratunek dla niszczejącego w szybkim tempie Krakowa.

Dla mnie ta, z nie byle jakim mozołem i z dużym samozaparciem wypracowana, kariera Janka D. (nazwisko potem) jest dziwniejsza i ciekawsza, że wróżyłbym mu przed laty wszystko, tylko nie papiery mistrzowskie w tak arcytrudnym fachu jak cyzelerstwo czy brązownictwo. Tym bardziej, że znałem go w czasie, gdy tłukł szyby na Nowomiejskiej, a matki jego kolegów prorokowały swoim pociechom: *Zobaczysz, że on cię jeszcze sprowadzi na manowce.* Dziś, na swoich „manowcach", dorosły już Jan Dębowski zyskał status mistrza rzemiosła artystycznego, a wielu jego kolegów uczyć by się od niego mogło, jak zamienić hobby na ciekawy i bardzo pożyteczny zawód.

* * *

... Z tymi szybami to fakt, ale kto w pewnym wieku nie miał tego na sumieniu? Prawdą jest również, że moje zachowanie w szkole podstawowej nr 3 nie było nadzwyczajne i musiałem kończyć pierwszy etap edukacji w szkole z numerem 23. Żeby nie było tak czarno od samego początku, to dodam, że czułem „wolę Bożą" nie tylko do rozróbki. Malowałem, rysowałem i... próbowałem się ukierunkować życiowo, zdając do Liceum Plastycznego. Nie przyjęli mnie z braku miejsc. Wiedziałem jednak, że coś trzeba robić, że bez jakiegoś fachu nigdzie się daleko w życiu nie zajdzie. I tak znalazłem się w Technikum Samochodowym, gdzie wdałem się w te wszystkie gaźniki, rozruszniki i sprzęgła... Ale cały czas fascynował mnie metal, klepałem, — ot, takie tam, różne drobiazgi: podstawki, popielniczki itp., itd.

Po skończeniu Technikum upomniało się o mnie na dwa lata wojsko. Ale powiedziałem sobie, że matury, której nie udało mi się zdać w pierwszym terminie, nie popuszczę! Dali mi urlop z wojska — no i nie popuściłem!

Podczas mojej służby wojskowej zmarł ojciec, długoletni pracownik łódzkiej ubezpieczalni. W domu zrobiło się ciężko, no i po powrocie z woja trzeba było korzystać z tej mojej artystycznej smykałki. Znów dorabiałem sobie i rodzinie różnymi drobiazgami. Powoli, z tego hobby zaczynało jednak wyrastać prawdziwe zainteresowanie metaloplastyką. W tym czasie zapoznałem się zresztą z metalem dość dobrze od strony technologicznej i konstrukcyjnej, zacząłem bowiem pracować w Wojskowych Zakładach Motoryzacyjnych. Uczestniczyłem także w rozmaitych wystawach plastycznych amatorów, organizowanych przez Łódzki Dom Kultury, zbierając, i owszem, pochwały za malarstwo i rysunek.

W skrystalizowaniu się moich zainteresowań i wprowadzeniu mnie na zgodną z nimi drogę zawodową pomogła mi najpierw Ela Litwinowicz, moja koleżanka jeszcze z podstawówki, a później absolwentka PWSSP w Łodzi, w której pracowni rozpocząłem terminowanie i uczyłem się podstaw cyzelerki, repuserki, grawerstwa itp. Przydały się wtedy moje doświadczenia z pracy w WZM.

Po kilku latach takich prób i terminowania stwierdziłem, że jestem na tyle mocny w swoim fachu, żeby popróbować egzaminu czeladniczego przed fachowcami z łódzkiej Izby Rzemieślniczej. Wyzwalałem się na czeladnika u mistrza brązownika — Jana Witkego. Nie, nie nosiłem wody pani majstrowej i nie biegałem po zakupy, jak to dawne opowieści głoszą. Moje wyzwalanie polegało na tym, że pod okiem mistrza i w jego warsztacie zrobić musiałem tzw. sztukę czeladniczą. Wymagano ode mnie jakiegoś tam pudełka czy kasetki. A ja na to, że to dla mnie „małe piwo" — miałem tupet, swoją drogą, no nie!? — i że chciałbym coś innego. Mistrz — dusza człowiek — zgodził się na moją propozycję wykonania barokowego, srebrnego lusterka, metodą cyzelersko-repuserską. Pod okiem Jana Witkego, przy udziale jego porad, moja „sztuka czeladnicza" udała się nieźle. Sam mistrz i komisja także ocenili ją jako dobrą. Zostałem czeladnikiem! No i, rzecz jasna, było mi tego mało. Istnieją bowiem przepisy, że jeżeli egzaminowany wyzwoli się na czeladnika z wynikiem dobrym, to może — niejako „z marszu" — przejść do wykonania „sztuki mistrzowskiej". Zrobiłem ją w ciągu najbliższego roku. Była to srebrna papierośnica, nad którą ślęczałem kilka tygodni, korzystając również z uwag i porad mistrza Witkego. Dzięki tej „sztuce" zdobyłem tytuł mistrza brązownika.

Rzecz jasna, chciałem się usamodzielnić i założyć własną pracownię brązowniczo-cyzelerską. Uff... długo zabiegałem i walczyłem o jakiś lokal. Dostałem go w końcu w domu, który podlega rozbiórce, ale myślę, że do tego czasu uda mi się może znaleźć miejsce, z którym będę mógł naprawdę związać swoje zawodowe plany. A mam ich sporo. Chciałbym uczestniczyć w odnowie zabytków Krakowa, zgłosiłem już odpowiedni akces do Komitetu Rewaloryzacji, ale myślę, że i łódzkim zabytkom mogłaby się przydać opieka brązownika-cyzelera więc, jeśli tylko Urząd Konserwatora Zabytków dostrzeże moje dobre chęci... Na razie służyłem fachowym doradztwem przy montażu odlewu pomnika Reymonta, a łódzki Ośrodek TVP znalazł wśród moich wyrobów stosowne akcesoria do swoich programów. Największej jednak satysfakcji zawodowej dostarcza mi — przynajmniej na razie — przywracanie dawnej świetności, używalności i blasku rozmaitym przynoszonym do mojej pracowni „starociom" — zegarom, lichtarzom, kasetkom itp. Bywa, że jest to praca pasjonująca, a obcowanie z dziełami dawnych mistrzów nie tylko uczy, ale i dopinguje do dorównania im kunsztem.

Skoro już mowa o mistrzach, to moim zawodowym ideałem jest Józef Nałęcz Hakowski, wybitny polski artysta cyzeler, zmarły w 1897 roku. W swoim czasie był on nawet nadwornym cyzelerem królowej Wiktorii. Jest autorem wielu wybitnych dzieł cyzelerskich, w tym najsłynniejszego — tzw. „Tarczy ruskiej" — zaliczonej przez znawców do najpiękniejszych tarcz ozdobnych w skali światowej. Przez 40 lat była ona przechowywana w skarbcu Miejskiej Kasy Oszczędności Krakowa, w czasie ostatniej wojny starannie ukryto ją przed zachłannością okupanta, a w 1951 roku trafiła do Muzeum Miasta Krakowa — uznana przez komisję rzeczoznawców za zabytek najwyższej klasy. Mówię o tym tak dużo, bo niedawno oglądałem „Tarczę" Hakowskiego w Krakowie, jestem pod dużym wrażeniem jego mistrzostwa i mam wreszcie wzór do którego mogę dążyć...

Chciałbym też zrobić cokolwiek dla rozpropagowania rzemiosła artystycznego, którego rola nie skończy się przecież z chwilą zakończenia budowy Zamku w Warszawie. Cyzelerstwo, jak i inne ginące zawody, ma szanse, by „zmartwychwstać".

Skłania mnie ku tej nadziei chociażby zainteresowanie młodych ludzi zawodem, który uprawiam. Często goszczę w pracowni chłopców, którzy chcieliby uczyć się rzemiosła artystycznego i którzy z zainteresowaniem słuchają i dopytują się o tajniki tej sztuki. Przyjąłem na razie dwóch uczniów, więcej nie mogę ze względu na ciasnotę pracowni, ale myślę, że „zielone światło dla rzemiosła" i zapał tych młodych ludzi pomogą mi w zrealizowaniu moich zawodowych wizji.

Kłopoty, problemy...? Cóż, bardzo trudno o literaturę fachową. Wiele wieczorów spędzam w Bibliotece Waryńskiego, szukam informacji, wiadomości, pomysłów. Również narzędzia to problem, który trzeba rozwiązać wykonując je sobie samemu, jak np. tzw. puncyny — czyli, jaśniej mówiąc, rozmaitego rodzaju dłutka, punktaki itp.

Czym się zajmuję jako brązownik? O naprawach i renowacji rozmaitych staroci już mówiłem. Robię rzeczy małe i duże, tanie i drogie, wymagające pracy niewiele lub więcej niż sobie przeciętny klient może wyobrazić. Są więc tzw. „sukienki" do ikon, ramki ozdobne, stylowe zegary — kopie czasomierzy XVII i XVIII-wiecznych, a także sporo dekoracyjnych drobiazgów i różnych bibelotów wiążących się z modą na starocie. Rzecz jasna, chciałbym robić więcej rzeczy ciekawszych, trudniejszych, rozszerzyć zakres napraw, ale szczupłość pracowni nie pozwala na zainstalowanie odpowiednich urządzeń, więc bywa, że klient odchodzi z kwitkiem.

Mówi pan, że dlatego, bo drogo... Być może, ale dlaczego mam nie cenić swojej pracy? To przecież rękodzieło artystyczne... Pan swoją docenia, prawda? No, właśnie! Ja się tego fachu uczyłem długie lata, niejeden przedmiot, jak chociażby tarczę tego stylowego zegara, robię tygodniami... Zresztą staram się to, co robię — robić dobrze, jak najlepiej, żeby mnie później starzy mistrzowie po nocach nie straszyli. Brałem już udział w wielu wystawach w Łodzi, Warszawie, Krakowie, a także w Jarmarku Dominikańskim w Gdańsku, gdzie poznałem wielu tamtejszych rzemieślników? I rad byłem, że się nie musiałem wstydzić swojej roboty. Nie, to nie żadna reklama. To właśnie ta rzemieślnicza zawodowa duma i godność, zdrowa ambicja itepe, o której tyle się ostatnio mówi i pisze.

To prawda, że w Łodzi tradycje artystycznego rękodzieła nie są wielkie. Ale może będą? Bo nie wszystko w tym fachu robi się — jak sądzą niektórzy — wyłącznie z myślą o „szmalu". Pewien jestem, że po łódzkich ulicach biega jeszcze sporo chłopaków z talentem do artystycznego rzemiosła. Może więc to, czego nauczyłem się sam i od mistrza Witkego, uda mi się przekazać jeszcze paru zapaleńcom, do których i ja chciałbym się nadal zaliczać. Może dzięki nim ocaleje i wróci do życia parę ciekawych, szlachetnych zawodów, które niegdyś tak lekko odstawiliśmy na półkę w naszym pędzie ku nowoczesności...

NAUKA

BAZYLI BOŃCZAK

STUDIA DLA PRACUJĄCYCH

Studia dla pracujących spełniają dziś inną rolę niż w początkowym okresie swego istnienia. Nie są już one jedynie drogą uzupełnienia kwalifikacji osób pracujących na kierowniczych i samodzielnych stanowiskach wymagających wyższego wykształcenia, lecz raczej systemem studiów równoległym do stacjonarnych. Odgrywają coraz poważniejszą rolę w masowym kształceniu i dokształcaniu szerokiej rzeszy osób; obecnie w systemie studiów dla pracujących zdobywa wiedzę około 38 proc. słuchaczy.

Jak wynika z badań Wydziału Studiów dla Pracujących ZG SZSP, własne rodziny ma 55 proc. studentów pracujących, 24 proc. nie posiada własnego mieszkania, inni mieszkają z rodzicami lub wynajmują pokoje. 46 proc. studentów to ludzie młodzi, odpowiadający wiekowo studentom studiów dziennych, tzn. nie mają ukończonych 26 lat. W wieku 27-30 lat na studiach dla pracujących kształci się około 27 proc. studentów. **Pozostałe grupy wiekowe są już mniej liczne, zaś w grupie lat 41 i więcej jest już zaledwie 4 proc. badanych. Sytuacja jest więc odwrotna niż 30 lat temu.**

Od kilku lat wprowadzono, obok rekrutacji poprzez egzamin, tzw. system rekrutacji kierowanej. Z tej kilkuletniej praktyki wynika, iż sprawność nauczania studentów przyjętych na uczelnię bez egzaminu wstępnego jest niższa, niż sprawność osiągana przez studentów, którzy dostali się na studia zdając ten egzamin. Potwierdzają to dane z Uniwersytetu Łódzkiego. W roku 1977/78 I rok studiów zaliczyło 61 proc. studentów przyjętych bez egzaminu wstępnego i 80 proc. studentów przyjętych poprzez egzaminy wstępne. Są to wskaźniki dość wymowne, świadczące w znacznej mierze o niedocenianiu autentycznych zainteresowań, a co ważniejsze — predyspozycji przyszłych studentów.

Godzi się podkreślić, iż grupy przyjęte poprzez egzamin osiągają wyższe wskaźniki sprawności niezależnie od różnic wiekowych. Na fakt ten składają się różne czynniki, a przede wszystkim sprawdzalna wiedza, będąca w głównej mierze rezultatem systematycznej pracy.

Obserwujemy również pewne zróżnicowanie postępów w nauce w grupie słuchaczy z rekrutacji kierowanej. Wynika to m. in. z bardzo zróżnicowanego systemu przygotowania na terenie zakładów pracy. Niezbędne jest organizowanie odpowiednich kursów przygotowawczych, które winny ułatwić proces adaptacji i samą naukę na I roku. Trudne studia zaoczne wymagają określonych zdolności i znacznych umiejętności organizowania samodzielnej pracy, tym większych, im większe są obowiązki zawodowe, społeczne i rodzinne kandydata. Jeśli więc studia dla pracujących mają faktycznie podnieść poziom kwalifikacji zawodowych i ogólny poziom słuchaczy, to dobór kandydatów musi być przeprowadzany wyjątkowo wnikliwie. Rzecz jasna, iż wiele zależy również od grona nauczającego, ale wyjątkowa rola, szczególnie na studiach tego typu, przypada samym słuchaczom. Korzystanie z pomocy uczelni jest uzależnione od nich samych i od warunków, w jakich się znajdują.

Studia dla pracujących, mimo wyraźnej swej specyfiki nie wykształciły własnych rodzajów zajęć czy metod nauczania. W praktyce na ogół przenosi się na ten rodzaj studiów przykłady i wzory zajęć oraz metody nauczania ze studiów dziennych. Elastyczne korzystanie z technologii kształcenia z uwzględnieniem specyfiki studiów zaocznych to sprawa zasadnicza dla nauczycieli akademickich. Na studiach dla pracujących przeważają wykłady i zajęcia ćwiczeniowe. Te ostatnie w praktyce przekształcają się jednak w ukrytą formę wykładu. Troska o poziom i efektywność studiów dla pracujących powinna przejawiać się m. in. w modernizacji procesu dydaktyczno-wychowawczego. Istnieją, niestety, przeszkody obiektywne. Skuteczne wykorzystanie godzin wykładowych i ćwiczeń jest w dużej mierze utrudniane przez brak dostatecznej ilości materiałów dydaktycznych, takich, jak podręczniki i skrypty (nie chodzi o to, by były to materiały przystosowane dla tego typu studiów, ale żeby w ogóle były w dostatecznych ilościach).

Tak więc przed kadrą nauczającą stoi zadanie właściwego kierowania procesem samokształcenia. Kierunki i potrzeby tego typu wynikają też z ograniczonego wymiaru zajęć dydaktycznych. Chodzi również o kształtowanie osobowości studenta, jego postawy, o pogłębianie motywacji i umiejętności prowadzenia samodzielnej pracy umysłowej. Aby zadaniom tym sprostać, niezbędne jest ustawiczne przygotowywanie, zwłaszcza młodych nauczycieli akademickich, do realizacji zadań dydaktyczno-wychowawczych na tym trudnym odcinku.

Osiąganie postępów w studiach zaocznych wymaga spełnienia wielu wymogów. Należą do nich z jednej strony prawidłowy dobór kandydatów, właściwe ich przygotowanie pod względem merytorycznym i metodycznym, z drugiej zaś eliminowanie przeszkód utrudniających uzyskiwanie wyższej jakości kształcenia. Można do nich zaliczyć niewłaściwą czasami organizację zajęć, dezorganizację pracy samodzielnej słuchaczy czy wreszcie brak wspomnianych podręczników, skryptów, opracowań, wskazówek metodycznych itp. Do trudności tych włączyć trzeba także niekiedy niezgodność kierunku studiów z osobistymi zainteresowaniami lub ich małą przydatność do pracy zawodowej, jak również ewentualne kłopoty w egzekwowaniu uprawnień przysługujących słuchaczom z tytułu kontynuowania studiów. Dodajmy w tym miejscu iż rola zakładu pracy nie powinna się kończyć z chwilą skierowania kandydata na studia. Troska zakładu o pracownika — studenta, uwzględnianie jego specyficznej sytuacji jest obowiązkiem pracodawcy i często czynnikiem determinującym powodzenie na studiach.

Kształcenie, o którym mowa, nie może być oderwane od rzeczywistości ekonomiczno-społecznej i kulturowej kraju, musi stanowić jej ważny element rozwojowy. Studia dla pracujących stwarzają możliwość realizacji postulatu kształcenia ustawicznego, którego ważnym elementem będzie rozwój studiów podyplomowych; rekompensują braki kulturowo-oświatowe niektórych środowisk.

W tej intencji nakreślono liczbowy plan edukacji w stosunku do osób czynnych zawodowo. Trzydzieści tysięcy miejsc przygotowały w nadchodzącym roku akademickim wyższe uczelnie na wydziałach dla pracujących. Dwanaście tysięcy siedemset słuchaczy przyjmą uniwersytety, 9,3 tys. uczelnie techniczne, 5 tys. akademie rolnicze, 3 tys. ekonomiczne. 65 proc. tych miejsc przeznaczono dla kandydatów skierowanych przez zakłady pracy (w ramach tzw. rekrutacji kierowanej). Tym samym zakłady te biorą na siebie olbrzymią odpowiedzialność za właściwą selekcję kandydatów pod każdym względem.

Zajmuję się od wielu lat problematyką studiów dla pracujących i jestem ich zwolennikiem. Dzięki nim umożliwiamy bowiem zdobycie kwalifikacji i dyplomu tym, którzy z różnych przyczyn obiektywnych nie mogli podjąć studiów w systemie stacjonarnym. Studia dla pracujących powinny funkcjonować również i w przyszłości. Stanowią one, i na pewno stanowić będą, szczególnie cenny system umożliwiający uzyskanie wyższego wykształcenia głównie dla młodzieży robotniczej i chłopskiej. W roku 1978 — 67,8 proc. studentów na studiach wieczorowych i 70,8 proc. na studiach zaocznych było pochodzenia robotniczego i chłopskiego. W świetle przedstawionych liczb wyłania się nie tylko ogromna szansa dla studiujących, ale również dla instytucji, w których pracują i regionów, z których się wywodzą.

Doc. dr Bazyli Bończak
Prorektor Uniwersytetu Łódzkiego

Jak informuje amerykański dziennik „Washington Post", w Zatoce Perskiej planuje się zwiększenie liczby okrętów USA oraz wzmożenie obecności wojskowej Stanów Zjednoczonych na Oceanie Indyjskim przez powiększenie eskadry okrętów patrolujących. Również gazeta „New York Times", powołując się na informacje pochodzące z kół rządowych oraz z Pentagonu podaje o zamiarze dalszego nasilania amerykańskiej obecności wojskowej w basenie Oceanu Indyjskiego. Zdaniem komentatorów politycznych stanowi to element polityki USA, zmierzającej do zwiększenia potencjału wojskowego w różnych rejonach świata.

W niedawnym oświadczeniu agencji TASS na ten temat zwraca się uwagę na wystąpienie przedstawiciela USA — Wilkinsona — na konferencji przybrzeżnych i kontynentalnych państw basenu Oceanu Indyjskiego, która odbyła się niedawno w siedzibie ONZ. Jak podaje agencja AP, Wilkinson, przedstawiając stanowisko USA w związku z kwestią ograniczenia aktywności wojskowej w rejonie Oceanu Indyjskiego i z radziecko-amerykańskimi rozmowami w tej sprawie miał jakoby oświadczyć, że rozmowy te zostały „zahamowane wskutek znacznego zwiększenia przez drugą stronę sił marynarki wojennej na Oceanie Indyjskim". To oświadczenie Wilkinsona nie odpowiada prawdzie, bowiem, rozmowy przerwano z winy Stanów Zjednoczonych.

W trakcie rozmów radziecko-amerykańskich — a fakty dotyczące ich są dobrze znane światowej opinii publicznej — Związek Radziecki od samego początku konsekwentnie opowiadał się, i opowiada się nadal, za przekształceniem Oceanu Indyjskiego w strefę pokoju. ZSRR wypowiada się, również od samego początku, przeciwko rozwijaniu w tym rejonie wyścigu zbrojeń. Problem ten był, między innymi, przedmiotem rozmów na niedawnym radziecko-amerykańskim spotkaniu na szczycie w Wiedniu.

Ludzkość jest żywotnie zainteresowana, żeby zablokować możliwie najwięcej kanałów, które prowadzą, lub będą prowadzić w przyszłości, do wyścigu zbrojeń.

Dlatego też jest całkowicie zrozumiałe zainteresowanie, z jakim spotkało się na świecie oświadczenie o rozpoczęciu wymiany poglądów między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi na tematy tyczące się Oceanu Indyjskiego. Dialog ten rozpoczął się w czerwcu 1977 roku i świadczył o rozszerzeniu radziecko-amerykańskich rozmów, tak niezmiernie ważnych dla międzynarodowego odprężenia. Przedmiotem ich były zagadnienia interesujące nie tylko Związek Radziecki i Stany Zjednoczone, lecz także narody całego świata, a przede wszystkim narody krajów leżących na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. Na przestrzeni ostatnich lat problem Oceanu Indyjskiego był niejednokrotnie przedmiotem dyskusji na konferencjach państw nie związanych z żadnym blokiem. W 1971 roku kwestia ogłoszenia Oceanu Indyjskiego jako strefy pokoju została włączona do porządku dziennego Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

USA na oceanie indyjskim

Związek Radziecki zdecydowanie popierał ideę zahamowania zbrojeń w tej strefie świata. Nie ulega wątpliwości, iż propozycja przekształcenia basenu Oceanu Indyjskiego w strefę pokoju jest nader ważną inicjatywą, mającą w perspektywie pokojową przyszłość Azji. ZSRR zawsze solidaryzował się z żądaniami krajów, którym zależy na tym, żeby te czy inne mocarstwa nie budowały w strefie tego Oceanu baz wojskowych.

Przypomnijmy, iż Związek Radziecki i Stany Zjednoczone odbyły cztery rundy rozmów na temat sytuacji w strefie Oceanu Indyjskiego.

Po drugiej rundzie rozmów, która odbyła się we wrześniu 1977 roku, w prasie odnotowano, że rozmowy weszły w „fazę praktyczną". Istotnie, osiągnięto pewien postęp na drodze do porozumienia, które by przewidywało „zamrożenie" obecności ZSRR i USA na Oceanie Indyjskim oraz powstrzymanie się od lokowania tam strategicznych sił zbrojnych. Takie porozumienie mogłoby stworzyć warunki ku temu, że po „zamrożeniu" będą kontynuowane rozmowy zmierzające do zmniejszenia w tym rejonie świata wojskowej obecności i wojskowej aktywności państw, nie leżących na wybrzeżu oceanu.

Podczas czwartej rundy rozmów, pisze radziecki komentator w Gardow, która odbyła się w Bernie w dniach od 7 do 17 lutego 1978 roku, ZSRR i USA przystąpiły do sformułowania wstępnego projektu tekstów niektórych elementów wspomnianego porozumienia. Pozostało wprawdzie jeszcze sporo nie uzgodnionych punktów, ale w szeregu kwestii znaleziono ogólne sformułowania. Niestety, po tej rundzie rozmowy przerwano.

Od czasu do czasu przedstawiciele USA stwierdzają, że to strona amerykańska jest zainteresowana w ich kontynuowaniu. W styczniu tego roku, w sprawozdaniu przed Kongresem, prezydent J. Carter umieścił problem „zamrażania" wojskowej obecności na Oceanie Indyjskim w liczbie tych dziedzin, w których ZSRR i USA mogą „konstruktywnie współpracować". Pytanie tylko, jak można konstruktywnie współpracować, jeśli USA nie zgadzają się na propozycje Związku Radzieckiego kontynuowania rozmów?

Państwa leżące w rejonie Oceanu Indyjskiego niejednokrotnie wypowiadały się na rzecz jak najszybszego zawarcia porozumienia radziecko-amerykańskiego. Wszak zawarcie takiej umowy byłoby wielkim krokiem na drodze stworzenia strefy pokoju w rejonie Oceanu Indyjskiego. Związek Radziecki dąży do ukierunkowania swych rozmów z USA właśnie na stworzenie takich perspektyw. Wychodzi on z założenia, iż dzięki „zamrożeniu" a później zmniejszeniu działalności wojskowej na Oceanie Indyjskim, włącznie z likwidacją zagranicznych baz, idea stworzenia tutaj strefy pokoju zyska bardziej realne kształty.

Wytworzona sytuacja niepokoi opinię światową.

W rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ z 14 grudnia ub. roku wyraża się ubolewanie z powodu wstrzymania tych rozmów i wzywa się do ich niezwłocznego wznowienia. Dlaczego Stany Zjednoczone nie chcą kontynuować rozmów w sprawie rozwiązania problemów strefy Oceanu Indyjskiego? Odnosi się wrażenie, że — podobnie jak to ma miejsce również z niektórymi innymi rozmowami na temat rozbrojenia (na przykład w sprawie redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie Środkowej) — Stany Zjednoczone były propagandowo zainteresowane, żeby rozmowy o ograniczeniu działalności wojskowej na Oceanie Indyjskim zostały rozpoczęte i żeby ten problem w ogóle omawiać. Określone koła w Stanach Zjednoczonych liczyły w związku z tym na zmniejszenie ostrej krytyki ze strony krajów leżących w basenie Oceanu Indyjskiego, jak również krytyki opinii światowej pod adresem polityki USA, prowadzonej w tym rejonie świata. Mając nadzieje na propagandowe wykorzystanie faktu udziału w tych rozmowach, koła te, jak wyraźnie to widać, nie stawiały przed sobą celu osiągnięcia konkretnych wyników w tych rozmowach z ZSRR. Dlatego też jak tylko weszły one w fazę praktycznych wniosków i pojawiła się możliwość osiągnięcia porozumienia, koła te wpłynęły na przerwanie rozmów. W ślad za tym, o czym świadczą przytoczone na początku doniesienia prasy amerykańskiej, USA kontynuują zwiększanie swojej militarnej obecności w strefie Oceanu Indyjskiego.

W związku z wydarzeniami w Iranie, ilość okrętów marynarki wojennej USA na Oceanie Indyjskim zwiększyła się dwukrotnie.

W przyśpieszonym tempie rozbudowuje się wielką amerykańską bazę wojskową (lotniczą, marynarki wojennej, systemów łączności satelitarnej) na wyspie Diego Garcia. Ponieważ rząd Stanów Zjednoczonych nie informuje oficjalnie, że przerwał rozmowy na ten temat ze Związkiem Radzieckim, można przypuszczać, że trwają one nadal. Już samo zahamowanie na drodze do osiągnięcia porozumienia w dziedzinie rozbrojenia jest równoznaczne ze zwiększaniem wyścigu zbrojeń. Każdy krok do tyłu w kwestii tych rozmów — to krok do tyłu w odprężeniu militarnym.

Poza tym taki manewr rządu USA z rozpoczęciem rozmów w sprawie rozwiązania problemów w strefie Oceanu Indyjskiego i przerwanie ich może stworzyć wśród Amerykanów wrażenie, że są one pozbawione w ogóle jakichkolwiek perspektyw. Stąd prowadzi już prosta droga do argumentacji na korzyść nie ograniczania, lecz zwiększania wysiłków wojskowych, nie redukowania, lecz zwiększania wydatków wojskowych.

JERZY CZECH

KRONIKA TYGODNIA

Co najmniej dwa wydarzenia ub. tygodnia kierują naszą uwagę na RFN: debata w Bundestagu na temat przedawnienia zbrodni hitlerowskich oraz zapowiedź ubiegania się w przyszłorocznych wyborach o fotel kanclerski przez F. J. Straussa.

Wspomniana debata obserwowana była bacznie przez cały świat. Chodziło przecież o rzecz niebagatelną: **możliwość karania nadal tych, którzy w latach wojny dopuścili się zbrodni ludobójstwa.** Za przedawnieniem opowiadały się w RFN różne siły. Ujawnił to zresztą wynik głosowania — **zniesienie przedawnienia przyjęte zostało różnicą zaledwie 33 głosów,** wniosek otrzymał tylko 6 głosów więcej niż wynosi w zachodnioniemieckim parlamencie bezwzględna większość. Przebieg debaty też może zastanawiać. Choć rozpatrywano wielką sprawę polityczną i moralną dyskusja miała charakter formalno-prawny. Polemiki, jak rzadko, były ugrzecznione. Wszystko odbywało się tak, jakby deputowani chcieli powiedzieć: podporządkujemy się żądaniom międzynarodowej opinii, choć sami dalibyśmy spokój dalszemu ściganiu. Oczywiście, mamy na myśli nie wszystkich członków parlamentu.

Ostatecznie przedawnienie zostało zniesione i **teraz chodzi o to, aby sądownictwo RFN-owskie nie okazywało opieszałości w rozpatrywaniu spraw.** Jak pisze nasz korespondent z Bonn — do końca 1977 r. wszczęto w RFN postępowanie sądowe w stosunku do ponad 84 tys. osób, podejrzanych o zbrodnie hitlerowskie, ale niecałe 6,5 tys. zostało skazanych. Warto więc przypomnieć, że zdaniem Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego — w myśl definicji Trybunału w Norymberdze — ok. 1,5 mln osób należy uważać za odpowiedzialne za zbrodnie.

I teraz o drugim, wspomnianym na wstępie, fakcie minionego tygodnia. Pisaliśmy na tym miejscu, że z ramienia CDU/CSU w wypadku zwycięstwa uni w wyborach w 1980 roku ubiegali się o szefowanie rządowi E. Albrecht i F. J. Strauss. Ostatecznie pierwsza kandydatura została przegłosowana (poparcie 102 posłów) na rzecz drugiej (135 głosów).

Straussa nie trzeba Czytelnikom przedstawiać, nie trzeba też wyjaśniać, jakie reprezentuje tendencje. **Rząd RFN pod jego kierownictwem stwarzałby na drodze odprężenia poważne trudności.** Owa nominacja grupy parlamentarnej CDU/CSU zaostrza więc stawkę przyszłorocznych wyborów parlamentarnych. Alternatywa SPD/FDP czy CDU/CSU mieć będzie nie tylko dla RFN duże znaczenie. Z tych względów włączyliśmy pozornie drobne wydarzenie, o którym agencje pisały w małych notatkach, do „Kroniki tygodnia".

Od pewnego czasu prasa codzienna **wiele miejsca poświęca wydarzeniom w Nikaragui.** Ostatnie dni zaostrzyły sytuację jeszcze bardziej. Toczą się tam walki między siłami zbrojnymi dyktatora Somozy a oddziałami Frontu Wyzwolenia im. Sandino. Zasięg walk wciąż się powiększa — partyzanci są w ofensywie, wojska rządowe natomiast bombardują miasta i osiedla, ostrzeliwują robotnicze dzielnice, opanowane przez Front Wyzwolenia.

Poza granicami kraju **ukonstytuował się rząd Odnowy Narodowej,** który zapowiada obalenie reżimu Somozy i przejęcie władzy. Ustąpienia dyktatora domaga się również kilka rządów państw Ameryki Łacińskiej. Na sesji Organizacji Państw Amerykańskich większość uczestników obrad potępiła reżim Somozy i jego ludobójczą politykę. W tej sytuacji także Waszyngton wycofał swe poparcie, ale proponuje powołanie „tymczasowego rządu pojednania narodowego". Jest to oczywiście manewr, którego celem jest uniknięcie akceptacji rządu Odnowy Narodowej. Wielu polityków południowoamerykańskich obawia się, że USA mogą dokonać zbrojnej interwencji w Nikaragui. Znane są przecież z nieodległej przeszłości takie fakty.

Sandiniści i rząd Odnowy Narodowej **odrzucają możliwość jakiejkolwiek „koegzystencji" z dotychczasowym reżimem.** Domagają się oni kategorycznie ustąpienia Somozy. To jednak, mimo jego izolacji, nie następuje. Losy kraju rozegrają się więc w walce między reżimową Gwardią Narodową a partyzantami Frontu Wyzwolenia.

Przegląd aktualiów tygodnia kończymy odnotowaniem, że w **krajach niezaangażowanych trwają przygotowania do szóstego już szczytu** tych państw, który odbędzie się we wrześniu w Hawanie. W toku obrad Biura Koordynacyjnego pojawiły się dwa trudne problemy — reprezentacji Kampuczy (Kambodży) i zawieszenia w prawach Egiptu. W pierwszym przypadku chodzi o to, że część krajów nadal uznaje reżim Pol Pota, część zaś zaakceptowała nowe władze, w drugim o to, że radykalne państwa arabskie — w związku z zawarciem przez Sadata separatystycznego układu z Izraelem — domagają się zawieszenia Egiptu w pracach tego ruchu. Żaden z obu problemów nie został przesądzony, mają one być rozpatrzone we wrześniu.

W. SŁAWSKI

Z PRASY

„Planeta Wenus, jeszcze nie tak dawno dostępna tylko przy pomocy wizualnej obserwacji, stała się w ciągu ostatnich 20 lat przedmiotem planowych badań przy pomocy automatycznej stacji międzyplanetarnej (ASM) Początkowo radzieckie ASM: Wenus-1 i Wenus-2 (1961 i 1965) oraz amerykańskie — Mariner-2 i Mariner-5 (1962 i 1967) badały tę gwiazdę z daleka, ale już od 1966 roku, kiedy Wenus-3 po raz pierwszy osiągnęła planetę, rozpoczęło się jej badanie „na miejscu". Następne radzieckie ASM o wiele bardziej rozszerzyły naszą wiedzę o tej planecie, przekazując cenną informację o jej atmosferze, a 3 lata temu ludzie po raz pierwszy ujrzeli powierzchnię Wenus na unikalnych zdjęciach fotograficznych, przekazanych na Ziemię przez stacje Wenus-9 i Wenus-10.

Nie ulega wątpliwości, że otrzymamy więcej nowej informacji naukowej o tej wciąż jeszcze zagadkowej planecie. Poprzednie radzieckie i amerykańskie sondy kosmiczne spowodowały całkowitą ewolucję naszych wybrażeń o Wenus, a wszystkie dane otrzymane przy ich pomocy zrodziły jeszcze więcej pytań, na które dotąd brak odpowiedzi. Wenus zbliżona rozmiarami do Ziemi znajduje się bliżej Słońca (108 milionów km) i otrzymuje od niego dwa razy więcej energii niż nasza planeta. Ponadto, ponieważ jej atmosfera w 97 proc. składająca się z dwutlenku węgla, przechwytuje promieniowanie podczerwone emitowane przez jej grunt, w niższych warstwach atmosfery panuje niezwykle wysoka temperatura (+ 485 st. C) przy ciśnieniu niemal 100 razy wyższym niż na Ziemi (93 atmosfery).

Jedną z największych niespodzianek wykrytych przy pomocy poprzednich radzieckich automatycznych stacji międzyplanetarnych była, niezwykła suchość gruntu i atmosfery Wenus. Oto dlaczego zespół obserwacji, które radzieccy i amerykańscy badacze przeprowadzili przy pomocy ASM, był skoncentrowany na problemie wykrycia obecności, lub braku, wody w glebie i atmosferze planety.

Nawet jeśli przypuścić, że w jakimś okresie historii planety był na niej ocean, to słuszne jest pytanie: czy molekuły wody uniosły się w wyższe warstwy atmosfery w wyniku nagrzania gruntu i atmosfery, czy też rozpadły się pod wpływem intensywnego ultrafioletowego promieniowania wydzielanego przez Słońce? Radzieckie i amerykańskie eksperymenty powinny pomóc w otrzymaniu odpowiedzi na to kapitalne pytanie, na przykład drogą wykrycia wodoru w wyższych warstwach atmosfery, czy też łączenia się atomów tlenu ze skałami.

Jak poinformowano, radziecki program powinien powiększyć sensacyjny sukces osiągnięty przez stacje Wenus-9 i Wenus-10, które trzy lata temu przekazały na Ziemię fotografie powierzchni tej planety. Tym razem radzieckie aparaty lądujące są zaopatrzone w urządzenia pozwalające na przeprowadzanie analiz gruntu wenusjańskiego, który, jak przypuszczają uczeni, składa się przede wszystkim z bazaltu. Poza tym przeprowadzą one analizę procesu erozji chemicznej, która na pewno musiała się odbywać na powierzchni skał w konsekwencji wzajemnego oddziaływania kwasów, utrzymujących się w atmosferze i, być może, wody, jeśli ona tam w ogóle jest.

„Science et Vie" — Paryż

FATAMORGANA

Władysław Rymkiewicz

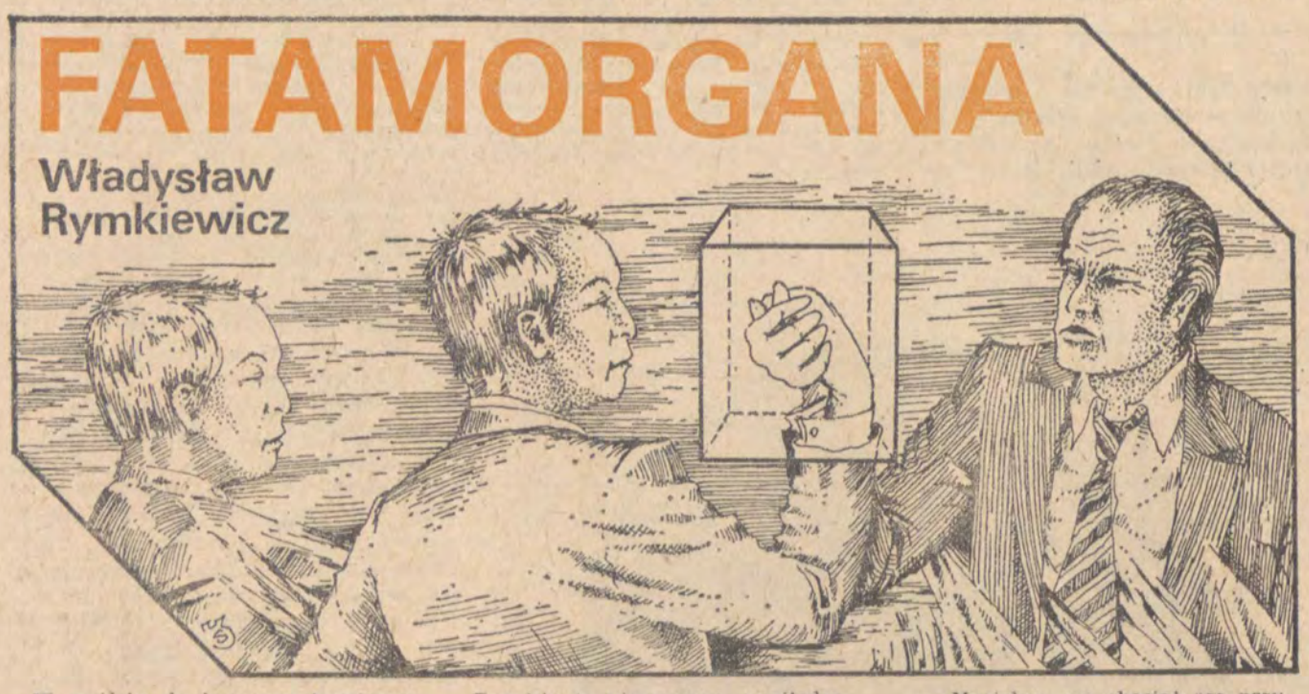

Narrator trzeci:

Zapowiadające się burzliwe zebranie miało zacząć się z dużym opóźnieniem. Czekano na pierwszego sekretarza zakładowej organizacji partyjnej. Drugi sekretarz usprawiedliwiał nieobecność towarzysza Janowicza faktem, że otrzymał on przed kwadransem ważny telefon wzywający go do Komitetu Partii, i prosił, żeby — póki nie wróci — nie zaczynać zebrania. Wiadomość ta rozeszła się szybko wśród zgromadzonych i wywołała różne domysły i komentarze. Optymiści wyciągali wnioski, że przedmiotem narad w Komitecie są sprawy związane z sytuacją w „Undiquie" i że dziś rozstrzygną się losy kliki. Pesymiści byli zdania, że Janowicz został wezwany w jakiejś innej sprawie; rozumowali oni, że Komitet nie zwoływałby narady nad sytuacją w „Undiquie" w atmosferze pośpiechu i nerwowości. Na dnie tych domysłów krył się wspólny wszystkim niepokój, jak spodziewane zmiany personalne odbijają się na sytuacji w spółdzielni. Rozprawiano z ożywieniem, gwar wypełniał pomieszczenie. Szyk krzeseł rozstawionych w kilkudziesięciu rzędach pogmatwał się i rozpadł. Zaprzyjaźnione grupy okupowały i poustawiały sobie krzesła według swego widzimisię. Opóźnione rozpoczęcie zebrania było mi na rękę. Miałem do załatwienia dwie sprawy i przyszedłem tylko po to, żeby zamanifestować moją obecność. Za kwadrans wyskoczę na miasto i wrócę po referacie, który potrwa z godzinę, a może i dłużej, bo Ceregra to nudziarz i piła. Zebrani komentowali ostatnie wydarzenia i dyskutowali w rozgorączkowaniu na temat spodziewanych zmian i przewidywanych układów personalnych.

Z niemałą satysfakcją łowiłem fragmenty uwag i sporów, w których rozmówcy wyrażali opinie o moim artykule, zamieszczonym w „Głosie" na temat stosunków w „Undiquie"; jedni chwalili odwagę autora, drudzy potępiali mówiąc „kiepski wariat". Wencel i Wencel — nazwisko moje powtarzało się, mógłbym powiedzieć, że było na ustach wszystkich.

Ziąkłem się, że licho mnie podkusiło, żeby podpisać artykuł pierwszą literą nazwiska. Klika może się domyślić, kto jest autorem, i będę miał kłopoty.

Ktoś położył mi rękę na ramieniu. Obróciłem się. Był to Smoleń.

— *Jak się masz* — powiedział z uśmiechem. — *Cieszę się, że cię widzę. Czy mogę cię prosić o małą przyjacielską przysługę?*

— *Proszę bardzo* — zgodziłem się chętnie.

— *Milde ma do mnie jakiś interes* — powiedział, wziął mnie pod ramię i zaprowadził w głąb sali a raczej sutereny, do ostatniego rzędu krzeseł, gdzie nie było nikogo. Zdziwiły mnie konspiracyjne manewry Smolenia. Ściszonym głosem zwierzył mi się, że Milde zaprosił go na rozmowę do pakamery. Milde czekał tam z magazynierem. Wobec tego Smoleń oświadczył mu, że i on chce mieć świadka tej rozmowy. „Proszę bardzo", zgodził się Milde. Smoleń prosił mnie więc, abym poszedł z nim do Mildego.

Nie było mi to na rękę. Chciałem przed rozpoczęciem zebrania wyskoczyć na miasto, gdzie miałem coś do załatwienia, ale nie mogłem Smoleniowi odmówić.

Weszliśmy do pakamery. Uderzył mnie w nozdrza piwniczny chłód, zaduch wilgoci i pleśni. W bocznym korytarzu słychać było plusk wody zlatującej z kranu do zlewu.

Dyrektor chorobliwie blady, w czarnych okularach wyglądał jak zjawa. Był chudy niczym fakir. Pomyślałem, że mógłbym policzyć w nim wszystkie kości. Siedział na pace w jakiś niedbały sposób i kołysząc jedną nogą stukał obcasem w deski.

— *A, jesteś!* — powiedział. — *Siadaj, proszę cię!* — mówił gardłowo jak Francuz.

Nie wiedziałem, czy to wada wymowy, czy maniera. Smoleń nie skorzystał z zaproszenia, a nawet zatrzymał się.

— *Nie cofaj się, Smoleń. Nigdy nie należy się cofać* — chrypiał Milde.

— *Nie mamy sobie chyba wiele do powiedzenia* — zauważył sceptycznie Smoleń.

— *Unikasz mnie.*

— *Sam powiedziałeś „kwita z przyjaźni"* — odciął się Smoleń.

— *Bo mnie zdenehwowałeś* — replikował dyrektor. — *Nie khytykuje się publicznie swojego przyjaciela.*

— *Może ty* — odpowiada pogardliwie Smoleń. — *Ja, nie.*

Ruszył do wyjścia. Wyszedłem za nim.

— *Dziękuję ci. Chciałem mieć kogoś, kto by w razie potrzeby poświadczył, co mówiłem. Z takimi ludźmi trzeba być ostrożnym. Będą przekręcać moje słowa i przypisywać mi to, czego nie powiedziałem.*

— *Z takimi typami nie warto w ogóle wdawać się w pertraktacje. Milde to kreatura* — dodałem. — *Dobrali się z tym chamusiem Sapińskim.*

Ktoś począł mi szeptać do ucha. Obejrzałem się. Kancelista z naszego Biura Radcy Prawnego, Rapalski, odciągnął mnie od Smolenia.

— *Ty sobie tutaj gadu gadu, a ziemia pali ci się pod nogami!*

W wejściu do bocznego korytarza ukazał się magazynier. Opatulał i wycierał ręcznikiem mokrą łysinę.

— *Amicus Plato, sed magis amica veritas** — odrzekł sentencjonalnie Smoleń stojąc w miejscu.

— *Już wyjeżdża z łaciną* — obruszył się Sapiński.

— *Wszyscy zwhócili uwagę, że Smoleń unika dawnych przyjaciół* — stukał Milde obcasem w pakę.

— *Którzy mają brudne ręce* — uzupełnił przymówkę Smoleń.

— *Ty, Milde, on sobie za dużo pozwala* — wścieka się sangwiniczny magazynier.

Zatrzymałem się w pewnej odległości za Smoleniem, ale słyszałem wszystko.

— *Kto wie, gdybyś mnie nie unikał, sphawy, przybhałyby może inny obhót?* — fantazjuje Milde.

— *Inny obrót* — śmieje się sarkastycznie Smoleń. — *Jesteś ślepym narzędziem zbrodniczej premedytacji głupców i nie widzisz, dokąd cię prowadzi klika.*

Sapiński, gruby i czerwony, sto kilo żywej wagi, ręce wyciera i wymachuje ręcznikiem.

— *Milde, ja go rąbnę!*

— *Zamknij się!* — hamuje swego „goryla" Milde i magazynier cofa się do bocznego korytarza.

— *A więc odrzucasz moją phopozycję? Nie satysfakcjonuje cię stanowisko wicedyrektoha „Undiquy"? Zhobiłbyś kapitalne głupstwo odrzucając moją koncepcję pohozumienia się z nami. Poza tym ostrzegam cię, moi kumple chcą cię wykończyć.*

— *Nie zastraszysz mnie* — spokojnie odpowiada Smoleń.

— *Każdego można zasthaszyć. Człowiek to sześćdziesiąt kilo sthachu.*

Rapalski to nieszczęsna, upośledzona istota, garbus, wszystkiego się boi. Napatoczył się przypadkiem na Ceregrę, który zaczął go egzaminować, co słychać u nas w biurze. Wyobrażam sobie Rapalskiego, jakim był przy tej rozmowie. Rozbiegane oczy, służalczy uśmieszek, który nie może przesłonić źle ukrywanego strachu. Zapewnił dyrektora, że wszystko u nas w porządku, nie mamy zaległości. Każda sprawa jest załatwiana od ręki. „*Zaległości może i nie macie* — zgodził się Ceregra — *ale gdy potrzebujemy porady prawnej, to ani radcy prawnego, ani jego zastępcy doprosić się nie można*".

— *Tłumaczyłem* — garbus zachłysnął się z przejęcia — *tłumaczyłem, że mecenas Kretz co dzień staje w dwóch albo w trzech sprawach „Undiquy" przed kratkami. Zastępca robi odpisy akt procesowych w kancelariach sądowych. Obaj mają pełne ręce roboty poza biurem i dlatego często są nieobecni. „Może to i prawda* — przyznał dyrektor — *ale zastępca traci czas na pisanie artykułów do prasy, obijanie się po redakcjach i plotkowanie*".

Rapalski relacjonował dalej, że starał się przekonać Ceregrę, że o plotkach mowy być nie może. W biurze Radcy Prawnego nie ma na to czasu. Regały uginają się pod ciężarem akt procesowych. „Undiqua" nigdy nie miała tylu pozwów do sądu, co w tym roku. Wicedyrektor słuchał tego niechętnie. „*Dobrze, dobrze*", przerwał. „*Powiedzcie Wenclowi, że naczelny chce mu zrobić sprawę karną o zniesławienie. Ja staram się Wencla wybronić i mnie tylko będzie zawdzięczał, jeżeli Milde nie wystąpi przeciwko niemu do sądu*". Ale i w tym wypadku, mówił, nie ujdzie to Wenclowi na sucho. „*Nie będziemy tolerować uciążliwych pracowników, donosicieli i rozrabiaczy, którzy nie umieją żyć w kolektywie*".

Rapalski wciągnął powietrze do płuc i zapytał, o jakim artykule mówił Ceregra. Udałem Greka.

— *To jakieś nieporozumienie. Nie napisałem żadnego artykułu. Co ci jeszcze mówił Ceregra?*

— *Domagał się nachalnie, żeby mu opowiedzieć, o czym plotkujemy. Ja mu na to, że nie mamy czasu na plotki, a on mi: „Już ja was znam. Nasza choroba społeczna to jałowe krytykanctwo".*

— *Idiota. Boi się krytyki i wyjeżdża z krytykanctwem.*

— *Co do tego, to się zgadzam, powiedziałem.*

— *Zgadzasz się? Ach, ty tchórzu!*

— *Musiałem mu chociaż raz przyznać w czymś rację* — bronił się Rapalski. — *A on na to: „Krytykanctwo, które podrywa autorytet kierownictwa".*

— *Tu go boli!* — wykrzyknąłem.

— *Mów ciszej* — ostrzegł mnie garbus.

— *Więc on o tym podrywaniu autorytetu* — mówił dalej — *a ja, że to prawda. Wtedy znów naskoczył na mnie: „Kolega boi się wypowiedzieć jasno. Kolega się boi Smolenia i Rumpla! A to najgorsi rozrabiacze. Rozrabiają, rozbabrują".*

— *To jego konik.*

— *„Powinniśmy walczyć z krytykanctwem, które osłabia więź..." i coś tam jeszcze gadał. Spociłem się i zdenerwowałem tą rozmową* — poskarżył się Rapalski i wytarł chustką pot z czoła i z karku.

— *Osioł!* — zawyrokowałem. — *Gdzie masz miejsce?*

Zaprowadził mnie do rozluźnionego rzędu krzeseł blisko wyjścia. To miejsce było mi na rękę, bo będę mógł prysnąć przed rozpoczęciem zebrania i wrócić niezauważony po referacie. Monika poczeka. To równa dziewczyna. Wytłumaczę jej, że musiałem sprawdzić, czy pielęgniarka środowiskowa przygotowała profesorowi obiad. Zebranie zacznie się nie wcześniej, niż za trzy kwadranse. Zdążyłbym wrócić około szóstej. W sam raz. Nie cierpię nasiadówek.

Niepokoiłem się o profesora. Był po drugim zawale. Lekarz ostrzegał, żeby w razie wystąpienia bólów ręki i duszności podać nitroglicerynę, a gdyby duszność i bóle nie ustępowały, wezwać pogotowie. Zmartwienia mnie prześladowały, drżałem o zdrowie profesora i żyłem w cieniu kliki jak w mroku nocy. Mogłem spodziewać się napaści zza węgła, jak przechodzień wracający późnym wieczorem do domu.

Powiedziałem Rapalskiemu, że mam coś do załatwienia na mieście i wychodzę. Przypomniał mi, że miałem przemawiać.

— *I będę przemawiał, jak wrócę. To zebranie przeciągnie się do wieczora. Wrócę na przerwę.*

— *Nie radzę wychodzić* — spojrzał na zegarek.

— *Audaces fortuna iuvat!*** — zażartowałem, wyniosłem się chyłkiem na korytarz i pobiegłem do wyjścia.

Miałem szczęście. Na postoju stały trzy taksówki. Kazałem zawieźć się na Nawrot. Byłem podenerwowany. Tłumaczyłem sobie, że Monika jest młoda i może poczekać, a schorowany profesor potrzebuje opieki. Byłem jego moralnym dłużnikiem i nigdy nie spłacę zaciągniętego długu wdzięczności. Zawdzięczałem mu umiejętności muzyczne, znajomość teorii, a nade wszystko miłość, jaką rozbudził we mnie do muzyki. Był doskonałym pedagogiem, potrafił pobudzić umysły i fantazję swoich uczniów. A przy tym wzorowo nauczał technicznego opanowania fortepianu i przejrzyście tłumaczył treść muzyczną każdego utworu. Mnie osobiście okazał dużo serca. Gdy po śmierci mamy zostałem sam, zaproponował, żebym się do niego przeprowadził i dzielił z nim samotność. Nie mogłem odmówić i nie mogłem oprzeć się chęci zamieszkania u profesora. Nie posiadam pianina. Korzystałem z fortepianu profesora i z jego bezcennych wskazówek. Póki choroba nie odebrała mu sił, koncertował. Uważano go za świetnego odtwórcę muzyki romantycznej. Teraz był artystą o złamanych skrzydłach i jego tragedia związała mnię z nim na zawsze.

Profesor drzemał zagłębiony w fotelu. Sen miał lekki. Ocknął się od stuknięcia drzwiami. Zobaczyłem wychudłą twarz naznaczoną piętnem nieuleczalnej choroby.

— *Pielęgniarka oczywiście nie przyszła. Nie jadł pan profesor obiadu* — zawołałem od drzwi i pobiegłem do kuchni. Zapaliłem gaz, postawiłem na ogniu rondel z wczorajszą zupą, drugi z ryżem i konserwą mięsną wstawiłem do piecyka.

— *Zebranie już się skończyło?* — zagadywał mnie profesor, podczas gdy dostawiałem do fotela stolik z talerzami.

— *Jeszcze się nie zaczęło. Niech pan się nie denerwuje, panie profesorze, jeżeli nie wrócę przed północą.*

Nie zdradzałem się z tym, że się śpieszę, ale trułem się myślą, że znów późno wrócę do domu, i niepokój o profesora będzie mi szarpał nerwy. Najchętniej zrezygnowałbym ze spotkania z Moniką i nie wróciłbym na zebranie do „Undiquy", lecz obawiałem się, że moja nieobecność może zostać zauważona i Ceregra będzie mnie sekował, że nie interesuję się sprawami Spółdzielni. W dodatku mecenas Kretz był na urlopie i ja go zastępowałem ponosząc odpowiedzialność za biuro Radcy Prawnego; miałem więc obowiązek śledzić pilnie przebieg obrad. Starałem się nie poddawać nerwowości i zachować pogodny wyraz twarzy, żeby profesor nie zauważył mojego zakłopotania.

(c.d.n.)

* Drogi mi Platon, ale jeszcze droższa prawda (przyp. red.).

** Śmiałym los sprzyja (przyp. red.).

Rozpoczynamy druk fragmentów najnowszej powieści Władysława Rymkiewicza, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

EDWARD KOLBUS

PEWNOŚĆ

jedno jej słowo
a pójdziesz wszędzie
zabierzesz z sobą chleb i sól

będziecie błądzić
jak po kolędzie
turoń ze śmiercią i Herod król

z tarczą na tarczy
historia wzejdzie
na skrzydłach wiatru ognisty ptak

i tak się stanie
to wielkie granie
po kraju skraj po ranę ran

ELŻBIETA MARCINKOWSKA

SZARE PTAKI NIEPOKOJU

Z głośnym łopotem strachu
zerwały się spod moich nóg
szare ptaki niepokoju
Spłoszone oczy
przeraziły się nagłego świtu
czyhającego domyślnymi twarzami
za każdym zakrętem słowa
Ręce już przytomne
zatrzymać chciały ostatki nocy
łudzącej spokojem
za cenę samotności
Bałam się
i jeszcze raz zamknięciem powiek
uciekłam w bezpieczny azyl
białej pościeli

DZIEŃ NOWY

Między sobą a tym drugim ja
w plątaninie wiecznych sprzeczności
w czasie między ukojeniem nocy a strachem poranka
wtłaczamy w konfesjonał białych poduszek
wszystkie nasze żale i usprawiedliwienia
małym skrzywieniem ust
stłumionym płaczem
zaciśnięciem powiek
by z pierwszym świtem wkroczyć w dzień nowy
siną aureolą zwycięstwa pod powiekami

BARBARA NADGÓRSKA

☆ ★ ☆

Cóż z niej wyrośnie
poczętej na kamieniu samotności
spychanej przez strach i zdziwienie
na szary koniec marzeń
Cóż z niej wyrośnie
raczkującej po pineżkach wątpliwości
wykpionej przez rozsądek
który gra na przyklejonym nosie
Przyłapani na czułości
śpiesznie powtórzyć musimy
jak opiekować się miłością

WOJCIECH WIŚNIEWSKI

ZAWOŁALIŚMY

zawołaliśmy Króla Słońce —

bądź i przemierzaj nasze palce
pochodnie życia źrenicami odetchną
przemawiaj do nas nami

gdy zabiegając o korytarze powietrza
docieramy od ziemi w górne partie spojrzeń
przybywaj i zeszyj zabitego ptaka
bo już się robak uśmiecha jak pijany w szynku

wolniej na życiu zapalimy codzienność
domowych ognisk utoczonych z chleba

wracaj i pocieszaj najbardziej bezludne serca

ze starej świtezi wyłaź i szemraj ciepłem
Jak Ten Co Gwiazdy Przeskakuje Bezbłędnie

niewolnik utraconej krwi

„ZA CO KOCHAMY STANISŁAWA CZERNIKA"

Z zażenowaniem przeczytałam artykuł *Za co kochamy Stanisława Czernika* umieszczony w *Odgłosach* z 13 maja 79 roku. Odrzućmy zręczną kompilację cytatów St. Czernika i innych, co zresztą składało się na 7/8 artykułu i zastanówmy się co autorka, Krystyna Kwiatkowska, napisała od siebie.

Czy obecnie po czterdziestu z górą latach — ów tajemniczy światopogląd zdołał zaistnieć? Nie wiadomo. Oczywiście nie wiadomo autorce artykułu. Bo inni wiedzą. Wiedzą, że światopogląd ten nie jest taki *tajemniczy* i że zdołał zaistnieć, i że po 30 latach młodzi poeci łódzcy ogłosili komunikat (chcąc wyjść — jak pisali — z impasu niedookreśloności), w którym powołali się na antenata swojej konwencji poetyckiej — Stanisława Czernika. Czernik był dla nich tym poetą *który nie bał się bronić bardziej etyki pisarskiej niż artyzmu.* Określili swój światopogląd posługując się słowami Czernika:

Nie powinno być różnicy między tym,
co mieści się w prawdziwej pieśni,
a tym co zamknięte jest w życiu.

Oczywiście, program tworzony w izolacji od problemów społecznych i politycznych, nie mógł liczyć na przetrwanie w niezmienionej postaci. Siła jego tkwi w tym, że nie tracąc sił witalnych drążył umysły poetów, by wreszcie wytrysnąć po 30 latach nowym źródłem. Nie był to oczywiście ten sam autentyzm. Idee wracają bowiem w nowych barwach życia, w zmienionych postaciach.

Jaka idea? pyta pani Krystyna Kwiatkowska. Idea: uczciwości. W tym przypadku uczciwości poety w stosunku do własnego utworu. Czernik wymagał od poety tzw. *legitymacji wewnętrznej* na prawo pisania danego utworu. Nie można tworzyć legend o rzekomym przeciwstawianiu się przez Czernika fantazjotwórstwu. Pisze Krystyna Kwiatkowska: *ideałem byłoby uśmiercić Dantego przed powstaniem Boskiej Komedii.*

Dla mnie ideałem byłoby, gdyby autorka zapoznała się z całą czteroletnią zawartością *Okolicy poetów* (nie antologią), z twórczością Stanisława Czernika, Jana Bolesława Ożoga — jednego z najwybitniejszych autentystów, którego zupełnie w „wyliczance" pominęła, a który napisał książkę pt. *Mój autentyzm. Zawsze propagowałem twórcze, męskie, świadome, autentyczne fantazjotwórstwo* — pisze Czernik w *Okolicy poetów* nr 4/1937 a p. Krystyna Kwiatkowska pisze: *Bo tekst jest skonstruowany bardzo sprytnie (...) co stwarza absolutnie nieograniczone możliwości interpretacji.* Należy w tym miejscu zauważyć, że każdego rodzaju rozważania teoretyczne posiadają z racji dążności do uogólnienia błędy i słabe punkty.

Autentyzm należy zrekonstruować poprzez poetyki najwybitniejszych jego przedstawicieli, tak jak romantyzm (nie stawiam tu znaku równości) odczytuje się poprzez twórczość wieszczów, a nie poprzez analizę doktryn, teorii czy sporów.

Autentyzm należy odczytywać jako ogniwo w historii literatury polskiej, jako reakcję na spekulacje myślowe tworzące różnego rodzaju *izmy*, abstrakcyjne, będące jakże często tylko ucieczką przed katastrofizmem lat 20. Był reakcją na powracające motywy; eschatologii, transcendencji, niezrozumiałości, wreszcie pesymizmu.

I końcowa uwaga. Dziś autentyzm należy odczytywać wyłącznie historycznie. Nieporozumieniem jest wyszukiwanie po 40 latach drobnych nieścisłości, tak jak nieporozumieniem byłoby przekreślać dadaizm, weryzm, solipsyzm czy wiele innych *izmów* za to, że nie przetrwały.

Jeżeli przy omawianiu *Okolicy poetów — Antologii poetów autentystów* wspomni się, że czasopismo zapoznało czytelników z 350 najlepszymi poetami (nie tylko polskimi) i teoretykami poezji, wywarło wpływ na wielu poetów i wielu dobrych poetów odkryło, jeśli wspomni się ogromne na tamte czasy przedsięwzięcie prezentacji polskim czytelnikom literatury obcej tłumaczonej (po wyrażeniu zgody autorów) z 18 języków, prezentacji najciekawszych tendencji literatury europejskiej, jeżeli uważnie przestudiuje się czernikowską prozę, poezję, krytykę, dramat, studia historyczno-literackie to nie będziemy mieli wątpliwości za co kochamy Stanisława Czernika.

ELŻBIETA CIEPŁUCHA

Artykuł p. Tadeusza Szczepańskiego jest prowokujący. Nareszcie czegoś dziennikarz nie rozumie. Nie rozumie, ale pisze. Nie rozumie, dlaczego pojawiły się filmy o kobietach. Tym samym p. T. Szczepański nie rozumie, dlaczego był Międzynarodowy Rok Kobiet, a może nie rozumie też, dlaczego rok 1979 — jest Międzynarodowym Rokiem Dziecka.

Pan Tadeusz Szczepański zastanawia się, czy filmy o kobietach — to „symptomy stabilizacji społecznej, które dopiero teraz mogą sobie pozwolić na luksus namysłu nad sytuacją kobiet".

Spóźniony luksus II połowy XX wieku. Szkoda, że tak późno.

To nie są symptomy, ale nabrzmiałe problemy społeczne, istotne na całym świecie. Ten palący problem społeczny, jakim jest problem kobiecy (nie ma problemu męskiego) odsuwa się stale. Ale jak długo można go odsuwać? Czy próby przedstawiania problematyki kobiecej przez kobiety są naprawdę kabotynizmem, histerią. Autor artykułu zarzuca kobietom, że zamiast prawdy ukazują swoje kompleksy. Mężczyźni też mają swoje kompleksy, np. doskonałości. Szkoda, że problemy kobiet przedstawia kino USA, a nie kino polskie. Zamykanie oczu na realia życia nie rozwiązuje problemu.

Cenię wypowiedzi polskich dziennikarek, które bronią (skromnie zresztą) równouprawnienia kobiet polskich.

Treść filmu jest banalna i stereotypowa, ale forma jest niebanalna i niestereotypowa. To, że Mazursky pokazuje przeciętną parę małżeńską, tym łatwiej trafia do przeciętnego widza, nawet polskiego. To, że reżyser ogranicza się w małżeństwie tylko do seksu można mu wybaczyć. Małżeństwo zostało ukazane w krzywym zwierciadle, tak jak bywa w życiu.

Zgadzam się, że „w tak zarysowanej hierarchii wartości kobieta traci wszelką szansę samostanowienia, psychicznej autonomii, wszelkiej podmiotowości. Próby szukania życiowych szans poza mężczyzną spełzają na niczym". Zdanie rzeczowe, którego treść nie do wszystkich kobiet polskich dotarła. To wykształcone kobiety zrozumiały, jak należy zmieniać hierarchię wartości narzuconą nam przez mężczyzn. Bo być dzisiaj mężczyzną, to też nie jest łatwe. Artykuł potwierdził, że najtrudniej jest uporządkować sprawy na własnym podwórku.

HALINA T.

Odpowiedzi na pytania, co wybierają i jak wybierają kobiety, dostarczają prezentowane ostatnio na polskich ekranach liczne filmy poświęcone statusowi kobiet w czasach post-emancypacyjnych.

A MOŻE JESZCZE

Rys. Andrzej Adamowicz

O KOBIETACH?

Po przeczytaniu recenzji Tadeusza Szczepańskiego o filmie „Kobieta niezamężna" (nr 23 „Odgłosów") czuję się zmuszona zabrać głos, ponieważ autor recenzji wydaje się opacznie rozumieć sens i przesłanie tego, może nie najbardziej wartościowego filmu w grupie dzieł czyniących z kobiet bohaterów swoich filmów, ale istotnego jako głos w dyskusji na temat interesujący i dotyczący nie tylko kobiet.

Jedna z bohaterek, wystawianej obecnie z dużym powodzeniem w Teatrze Ateneum w Warszawie, sztuki angielskiej dramatopisarki Pam Gems mówi: „Nie chcemy już być takie, jak oni chcą żebyśmy były. I oni tego nienawidzą" Jest w tym przedśmiertnym wyznaniu bohaterki nieco kobiecej afektacji, ale racji trudno temu wyznaniu odmówić.

Stanowisko jakie zajął T. Sz. wobec zaproponowanej przez film problematyki jest tego przykładem. „Kobieta niezamężna" czy raczej zgodnie z angielskim wiernym tłumaczeniem i sugestią recenzenta „Kobieta wolna" nie jest, jak twierdzi T. Sz. tytułem ironicznym w stosunku do treści filmu. Bohaterką filmu jest kobieta, od pewnego momentu — nie z własnej zresztą winy — niezamężna, ale dzięki temu niezależna. Autor recenzji sugeruje, że bohaterki filmu żyją wyłącznie poszukiwaniem przeżyć erotycznych. I to prawda. Ale spełniają się ich poszukiwania nie w erosie, lecz w seksie. To rozróżnienie wydaje się bardzo istotne dla tego filmu, chociaż nie wyłącznie na użytek filmu. Autor recenzji rozdziela i zaciemnia granice między obiema tymi sferami ludzkich potrzeb i namiętności. Nieszczęściem bowiem bohaterek filmu jest niemożność realizacji siebie poprzez miłość dlatego, że szukając doznań głębszych u mężczyzn, dojrzałego uczucia, przyjaźni, podobnych zainteresowań znajdują wyłącznie jeden składnik z uczuć przynależnych człowiekowi — seks. Jedna z kobiet popada w alkoholizm, choć ostatnie sekwencje pokazują, że wyzwala się od nałogu, zaczyna panować nad frustracją, staje się na powrót wolną, właśnie wolną, sterowaną świadomie przez siebie, zależną od siebie, od swoich świadomych decyzji istotą. Ten sam problem dotyczy głównej bohaterki filmu. Porzucona przez męża dla innej, młodszej kobiety po chwilowym załamaniu odzyskuje równowagę. Wykorzystuje twórczo bolesną pauzę swojego dojrzałego życia. Dramat staje się szansą. Spotyka mężczyznę, który wydaje się, mógłby być partnerem. Połączyły ich wspólne zainteresowania, samotność, namiętność. Wspaniale, gdyby nie „ale"...

Mężczyzna — malarz konceptualista — marzy, aby ta ciekawa i atrakcyjna kobieta stała się „mrocznym przedmiotem pożądnia". Czy bohaterka może na to zgodzić się? Nie może i nie zgadza się. I to jest sens i istota tego filmu. Przekroczywszy bolesny próg własnego doświadczenia nie wejdzie w ten sam łatwy i ciepły żywot kobiety pięknej, utrzymywanej przez męża czy kochanka. Nie będzie już przedmiotem pożądania, ale suwerenną istotą ludzką proponującą siebie jako partnera i oczekującą tego samego od mężczyzny. Jeżeli on to przyjmie to chwała mu za to, za dojrzałość i rozsądek. Jeżeli nie przyjmie? Cóż. Pozostaje świadomość własnych możliwości i potrzeb, nie bezwolnego, biologicznego zniewolenia. Bohaterka wybiera walkę o swoje autentyczne „ja". I to jest istotną wartością tego filmu — jego humanistyczne, optymistyczne przesłanie.

Chociaż pojęcie emancypacji w stosunku do realiów rzeczywistości wydaje się być nie w pełni adekwatne i to nie tylko na odległych, kulturowo i cywilizacyjnie, od naszych, obszarach.

Z wyrazami przyjaźni i życzliwości dla Redakcji i Recenzenta

MARIA MULARCZYK

(OD REDAKCJI: o ile wiemy, p. Maria Mularczyk jest w dalszym ciągu żoną p. Tadeusza Szczepańskiego).

TEATR

DZIEŃ SCENY POWSZECHNEJ

Czteroletnia dyrekcja popularnego aktora, Romana Kłosowskiego w Teatrze Powszechnym (od sezonu 1975/76) przyniosła dotychczas łącznie siedemnaście spektakli, w tym trzy widowiska dla dzieci. Żadna z wymienionych cyfr nie jest „okrągła", jak by więc nie patrzeć, trudno doszukać się tu choćby zalążka jubileuszu. Czy warto zatem i czy wypada przyjrzeć się bliżej nie pojedynczemu lecz pewnej sumie dokonań sceny, która nie obchodzi święta? Czy taktownie zabrzmi pytanie o jej kształt w paru minionych sezonach?

Owe obawy nie są bezzasadne, jeśli zważyć fakt, że skupianie uwagi na osobach lub instytucjach dostarczających okazji do rocznicowego zajmowania się nimi stał się u nas zwyczajem, więcej — regułą. Wówczas sięga się do początków, szuka antenatów, wspomina rozwój, wylicza triumfy, kurtuazyjnie przemilcza porażki i do... następnego pięcio-, dziesięcio-, ileś tam lecia.

A przecież te same osoby i instytucje tkwią przede wszystkim w codzienności, która przeważa nad świętem. Czy więc próba uchwycenia dnia powszedniego, z pewnością trudniejsza i mniej efektowna, nie jest jednak równie pożyteczna, co rejestracja odświętna? Uważam, że w przypadku teatru — cenniejsza nawet.

Usprawiedliwiwszy się niejako przed Czytelnikami z zamiaru zaprzątnięcia Ich uwagi Teatrem Powszechnym, spróbuję zatem pokazać, co proponuje on swej publiczności. Wszelkie rozważania trzeba poprzedzić spostrzeżeniem, iż jest to właściwie najskromniejszy teatr w mieście, bowiem w przeciwieństwie do swych konkurentów, tj. Teatru Nowego i Jaracza, posiada wyłącznie jedną scenę. Jest to zaleta i wada zarazem. Zaleta, bo ustalenie miesięcznego repertuaru nie wymaga wysiłku, bo w sposób nieograniczony można dysponować aktorami, bo cały system prowadzenia teatru-przedsiębiorstwa wydaje się być stosunkowo prosty. Wada tkwi w tym, że jedna scena znacznie ogranicza możliwości kierownika artystycznego i zespołu zmuszając ich — jak mi się zdaje — także i do wyrzeczeń. Nie sposób bowiem mając jedno miejsce do grania szukać nowatorskich rozwiązań, eksperymentować, co w konsekwencji musi powodować pewne ograniczenia. Założeniem tego teatru podstawowym jest jego powszechność, która nie może, nie powinna zawierać się wyłącznie w nazwie. Naturalną konsekwencją musi być tutaj wyjątkowo starannie przemyślany repertuar, który w równym stopniu usatysfakcjonuje inteligenta, robotnika, młodzież szkolną i studencką. Nie jest to z pewnością zadanie łatwe.

Roman Kłosowski w składanych przez siebie deklaracjach niejednokrotnie podkreślał, iż interesuje go jako człowieka odpowiedzialnego za poziom teatru, którym kieruje, głównie temat współczesny. Pojęcie współczesności w jego rozumieniu jest dosyć szerokie, bowiem zawiera się w nim nie tylko dramaturgia ostatniego okresu, ale także literatura klasyczna, poruszająca problemy zawsze żywe, zawsze aktualne. Stąd np. szekspirowski *Ryszard III* i adaptacja *Zmartwychwstania* Tołstoja.

Świadomie zrezygnowawszy ze złudnej ambicji prapremier, po warszawskich sukcesach wprowadził na scenę swojego teatru takie spektakle jak *Lot nad kukułczym gniazdem* Keseya w adaptacji Dale Wassermana czy *Przedstawienie Hamleta we wsi Głucha Dolna* Breszana, zabierając tym samym głos w ważkiej dyskusji nad wyborem postawy, określeniem stosunku człowieka do życia.

Podążając za rytmem naszego czasu, Kłosowski stara się uchwycić nie tylko jego prawidłowości, ale także i anomalie, co zaświadczył *Bołdynem* Putramenta, *Zakrętem* Wieżana czy choćby *Meczem* Głowackiego.

W nurcie szeroko rozumianej współczesności mieszczą się również przedstawienia, które ze względu na wyjątkowy rezonans u publiczności korzystnie wyróżniły się w repertuarze Teatru Powszechnego, mianowicie *Szwejk* według Haszka i *Słoń* Kopkowa. Oba te spektakle cieszyły się autentycznym powodzeniem u widzów przez cztery sezony.

Praca teatru nie ogranicza się wszakże do ustalenia linii repertuarowej, która w tym wypadku, przy całej swojej rozciągłości, jest wyraźna i konsekwentnie prowadzona. Na wyniki tej pracy wpływają w nie mniejszym stopniu realizatorzy. Dyrektor Kłosowski potrafił zapewnić swojej scenie obecność Lidii Zamkow (*Zmartwychwstanie, Lot nad kukułczym gniazdem, Biedermann i podpalacze* Maxa Frischa, jedna z ostatnich premier), Jerzego Hoffmanna, Andrzeja i Janusza Kondratiuków, Janusza Zaorskiego, ze scenografów — Jana Banuchy, Jerzego Moskala, Wojciecha Siecińskiego.

W swojej koncepcji artystycznej Kłosowski zdaje się przedkładać teatr słowa nad teatr inscenizacji. Jest to zwłaszcza widoczne w przedstawieniach przez niego reżyserowanych. Ma ich do tej pory niewiele, jeśli ograniczyć się do jego łódzkiego okresu. Rozpoczął go na początku 1976 roku *Turoniem* Żeromskiego, pod koniec tegoż roku wystawił *Bołdyna* i wreszcie niedawno wyreżyserował mało u nas znany dramat francuskiego pisarza, Emmanuela Roblèsa, zatytułowany *Montserrat*, w którym ostro nakreślił problematykę moralną.

Pisząc o Teatrze Powszechnym, nie można pominąć widowisk adresowanych do widzów najmłodszych, ponieważ ta twórczość nie stanowi, w przeciwieństwie do innych scen, działalności ubocznej, lecz jest przygotowywana z równą pieczołowitością, co spektakle dla dorosłych. W niezwykle poważnym stosunku do dziecięcego odbiorcy tkwi pewnie powodzenie kolejno wystawianych: *Co kto chce, czyli siedmiu przygód Centka, Historii o sosnowym pieńku, Piotrusia Pana.*

Kłosowski nie daje się omamić wizją teatru-fajerwerku. Respektując prawo sceny do żywiołowej zabawy, wymaga od niej jednocześnie, by służyła teatrowi, *którego przeznaczeniem jak dawniej tak i dziś było i jest służyć niejako za zwierciadło naturze, pokazywać cnocie własne jej rysy, złości żywy jej obraz, a światu i duchowi wieku postać ich i piętno.*

Teatr Powszechny prowadzony przez Romana Kłosowskiego, w czasie pewnego kryzysu norm etycznych pragnie dopomóc widzowi w wykrystalizowaniu własnego systemu wartości. I choć rezultaty artystyczne poszczególnych dokonań są różnej wartości, myślę, że nie można z tego czynić zarzutu, bowiem takie jest prawo powszedniego dnia sceny.

GRAŻYNA KOMPEL

FILM

CIEŃ GENERAŁA

Tydzień Filmu Hiszpańskiego zbliżył polską widownię do kinematografii, która od dwóch—trzech lat zwraca na siebie oczy całego filmowego świata. Na przestrzeni tego krótkiego czasu kino hiszpańskie stało się zjawiskiem najbardziej oryginalnym i twórczym na tle kinematografii europejskiej, która od przeszło dziesięciu lat przechodzi pogłębiający się kryzys. Przyczyny artystycznego i ideowego ożywienia filmu w Hiszpanii mają oczywiste podłoże polityczne, są związane z postępującymi po śmierci generała Franco demokratycznymi zmianami w życiu społecznym. Hiszpania przez bardzo długi szereg lat była kulturalną prowincją, a jej film leżał na uboczu wielkich rewolucji ideologicznych i artystycznych, jakie kino światowe przeżywało w okresie powojennym. Do podręczników historii filmu powojennego przeniknęły tylko dwa nazwiska hiszpańskie: Juana Antonia Bardema i Luisa Berlangi. W połowie lat 60-tych dołączył do nich, a raczej zastąpił, bo wtedy obaj tworzyli filmy mało wartościowe, Carlos Saura. Trudno bowiem zaliczyć do nieświetnej historii tej kinematografi artystyczne sukcesy Luisa Bunuela, który zaledwie jedno ze swoich arcydzieł „Viridianę" zrealizował w Hiszpanii, a sukces tego filmu na canneńskim festiwalu w 1961 roku był przyczyną skandalu politycznego w Madrycie zakończonego zwolnieniem dyrektora generalnego kinematografii. Najbardziej dosadną charakterystykę filmu hiszpańskiego sformułował Juan Antonio Bardem, stwierdzając, że był on „politycznie nieskuteczny, społecznie zakłamany, intelektualnie denny, estetycznie zerowy, a ekonomicznie rachityczny".

Co zmieniło się od tego fatalnego czasu, w którym Hiszpania pod rządami Caudillo była ostatnim już bastionem politycznego konserwatyzmu w Europie, gdzie władza totalitarna działając za pośrednictwem prawdziwie inkwizytorskiej cenzury (a film ucierpiał od niej najbardziej) skutecznie niszczyła wszelką swobodę myśli i demokratyczne dążenia? Jaki obraz życia wyłania się z nowych filmów tego kraju? Wreszcie, jak przedstawia się ich poziom artystyczny?

Odpowiedź na te pytania jest trudna, musi być trudna. Wynika to ze złożonej sytuacji hiszpańskiego przełomu, który z grubsza można by określić jako przejście do ustroju demokracji burżuazyjnej. Jest to sytuacja nieustannego wrzenia politycznego, wzmożonej aktywizacji wszystkich sił politycznych, i z lewa i z prawa, co niewtajemniczonemu obserwatorowi tamtejszej sceny politycznej, z której bardzo często dochodzą odgłosy aktów terroru utrudnia wysnucie sensownych wniosków. Niełatwo też zdać sobie sprawę z rozmiarów przeobrażeń i ich ekranowego odbicia, ponieważ w latach minionych wybieraliśmy ze skądinąd obfitej produkcji filmowej tamtego obszaru pozycje wybitne i nonkonformistyczne. Sytuację dodatkowo komplikuje język filmu hiszpańskiego, dziedzictwo tradycji hiszpańskiej sztuki, która zawsze skłaniała się w stronę tekstów aluzyjnych, operujących metaforą, alegorią i symbolem. Można też oczywiście widzieć w tego typu formach bolesny ślad faszystowskiej tresury umysłów dławiącej wszelki krytyczny odruch. To ostatnie przypuszczenie jest tym bardziej frapujące, że zaprezentowany polskiemu widzowi wybór filmów jest zdominowany tematem frankizmu i jego pozostałości w społecznej świadomości Hiszpanów. I mimo, zdawałoby się, gwałtownie postępującej liberalizacji kino podejmuje ten centralny temat nie wprost, lecz okrężną drogą. Wynika to zapewne również z niezbyt jasno uświadomionej pozycji ideologicznej twórców, którzy formułują swoje ekranowe komentarze do bieżącej sytuacji ze stanowiska mieszczańskiego indywidualizmu. Jedyny film zrealizowany przez komunistę, ponoć znakomite „7 dni w styczniu" Bardema został nieomal w ostatniej chwili z niedocieczonych przyczyn wycofany z programu przeznaczonego dla łódzkiej publiczności.

Tak czy inaczej cień generała Franco był obecny w każdym filmie, nawet najbardziej błahym i bezpretensjonalnym jak otwierająca przegląd komedia Juana Mercero „Wojna tatusia". Jest to film, którego główna atrakcyjność i wdzięk polega na odkryciu wspaniałego, 4-letniego brzdąca wprowadzającego natychmiast w czyn swoje najbardziej nieoczekiwane pomysły, co przysparza wiele kłopotów jego otoczeniu. Nieodparcie śmieszne zachowania i repliki malca tłumią wszakże zawartą w tytule intencję problemową, czyli mroczny, dotknięty zbrodniczym piętnem wojny domowej świat ojca widziany z dziecięcej perspektywy.

Faszyzm w oczach dziecka to zagadnienie nr 1 kina hiszpańskiego, wystarczy przypomnieć wspaniały film Arrabala „Viva la muerte!" Destrukcyjny wpływ tej patologicznej ideologii na dziecięcą psychikę był również motywem przewodnim większości filmów Tygodnia. Jednakże film Mercero skupiony przede wszystkim na humorystycznych efektach potraktował go bardzo powierzchownie. Istotniejszą informację, choć również notowaną na marginesach przyniósł na temat modelu obyczajowego hiszpańskiej rodziny burżuazyjnej, modelu ukształtowanego w dobie Franco i doskonale zakonserwowanego w potocznej mentalności. Chodzi o sławetne „machismo" (macho znaczy samiec), czyli bezwzględnie patriarchalny układ rodzinny, który w Hiszpanii nadal święci rygorystyczny triumf.

Liderem odrodzonego kina w Hiszpanii jest Carlos Saura, twórca w Polsce bardzo dobrze znany, ponieważ większość jego filmów, które znalazły uznanie światowej krytyki trafiła na polskie ekrany. W programie Tygodnia znalazły się dwa filmy najnowszy pt. „Z zawiązanymi oczami" i znany już z ubiegłorocznego repertuaru tytuł „Nakarmić kruki", który zastąpił nieobecny a wspomniany już film Bardema. Nieco paradoksalnym zbiegiem okoliczności „Nakarmić kruki" stał się najbardziej interesującym dziełem przeglądu. Żal nieobecnego Bardema, lecz dla tych, którzy jak niżej podpisany z tym filmem zetknęli się po raz pierwszy rekompensata była chyba w pełni satysfakcjonująca. Stąd też nie mogę sobie odmówić zanotowania wrażenia wyniesionego ze spotkania z tym niezwykłym filmem, tym bardziej, że jego tematyka ze szczególną siłą wyrażała ową podstawową obsesję hiszpańską, czyli zło świata ujawnione w dziecięcym spojrzeniu. W „Nakarmić kruki" ten punkt widzenia jest przesycony klimatem wyjątkowo posępnym, pogłębionym przejmującą kreacją cudownego dziecka hiszpańskiego filmu, małej Any Torrent, której blada, pozbawiona uśmiechu twarzyczka o wielkich, poważnych oczach stała się bardzo subtelnym medium dla ujawnionej przez reżysera egzystencjalnej grozy. Saura jak żaden z hiszpańskich filmowców potrafi oddać w zmysłowy, prawie dotykalny sposób psychologiczną ekspresję faszystowskiej deprawacji, antyhumanistyczny charakter brunatnej ideologii. Opowieść o dzieciństwie Any jest zbudowana — jak to bywa w ostatnich filmach tego reżysera — bardzo kunsztownie. Wyrafinowany kształt narracyjny tego dzieła, w którym rzeczywistość przedstawiona na ekranie ulega dzięki splotowi różnych płaszczyzn czasowych z planami snów i wyobrażeń daleko posuniętej subiektywizacji, doskonale służy autorskim intencjom. Stwierdzam to z pewnym zaskoczeniem, ponieważ formalne eksperymenty Saury obserwowałem do tej pory z pewnym dystansem, wydawały mi się bowiem efektem stylistycznej maniery rodem z literatury, której przeszczepianie na teren kina w wykonaniu tego reżysera przynosiło rezultaty niekiedy (np. „Elizo, moje życie") irytująco pretensjonalne. Niestety, wrażenie to powróciło przy projekcji najnowszego filmu Saury „Z zawiązanymi oczami", który traktuje o zjawiskach politycznego terroru we współczesnej Hiszpanii. Jest to niezwykle ważny problem społeczny i narodowy, który w tym utworze dzięki narracyjnym komplikacjom traci ostrość i wyrazistość, nie wstrząsa, lecz nuży. Tym, którzy pamiętają wczesne „Polowanie" tego, twórcy jego ostatni film przynosi zawód. Było to — jakby powiedział Zygmunt Kałużyński — „uroczyste osielstwo dla snobów".

Jedynym filmem, który bezpośrednio dotykał dręczącego hiszpańską podświadomość widma wojny domowej były „Długie wakacje 1936 roku" reżyserii Jaima Camino. Wokół tego tematu panuje w Hiszpanii ciągle jeszcze tabu milczenia, bariera autocenzury, pragnienie zapomnienia. W jednym z wywiadów reżyser wspomina, że na własne uszy słyszał jak po zakończeniu seansu w jednym z kin Barcelony jakaś kobieta zapytała swego męża: „Ale o jaką to właściwie wojnę chodzi w tym filmie?" a mąż odpowiedział: „To była wojna, którą Franco wygrał ze Stalinem". Zresztą sam Camino nie pokazuje wojny bezpośrednio, lecz sytuacje przez nią wywołane i nastroje wśród ludności cywilnej, kilku rodzin odciętych na letnisku przez okres blisko trzech lat od swoich domów w wyniku działań wojennych. Ta perspektywa opisu hiszpańskiej tragedii pozwoliła reżyserowi ukazać nie tylko cierpienia bezbronnych zaskoczonych wybuchem wojny ludzi, ale również polaryzację politycznych stanowisk pozwalającą wniknąć w jej złożone przyczyny.

Nie tylko wojna domowa, lecz również frankizm i jego polityczne konsekwencje jest tematem, z którym nowy film hiszpański dokonuje rozrachunku ostrożnie i w sposób zawoalowany. Przykładem takiej postawy jest „Pies" Antonia Isasiego, film którego akcja rozgrywa się „w jednym z dyktatorskich państw Ameryki Łacińskiej", gdzie totalitarną władzę sprawuje zwalczany przez partyzantów dyktator zwany „Psem". Aluzja jest nader przejrzysta, tym bardziej, że reżyser wybrał niezbyt zręczną formę politycznej argumentacji. Sensacyjna fabuła filmu polegająca na ucieczce z reżimowego więzienia opozycyjnego intelektualisty, którego niezmordowanie ściga demoniczny pies policyjny, zbyt często grzeszy dla alegorycznych celów częstokroć farsowym brakiem prawdopodobieństwa.

Filmem, który wyrasta z politycznego klimatu dzisiejszej Hiszpanii jest „Czarny miot" Manuela Gutierrez Aragona. Tytuł oznacza neofaszystowską grupę dokonującą krwawych zamachów w miejscach publicznych. Neofaszystowski terroryzm jest w Hiszpanii zjawiskiem zbyt częstym, aby jego odbicie na ekranie miało wystraczająco dramatyczny charakter. Sposób charakterystyki krwawej bojówki jest dość schematyczny, lecz film zasługuje na uwagę ze względu na postać jej najmłodszego członka, 15-letniego chłopca, który w atmosferze kultu siły, nienawiści i pogardy przeradza się w amoralne monstrum.

Na koniec pozostawiam film „Samotni przed świtem". Jest to nieco sentymentalny, melodramatyczny, lecz pełen ciepłych uczuć obraz przemian obyczajowych w Hiszpanii zmierzającej w kierunku wyzwolenia z gorsetu frankistowskich anachronizmów. Bez tego filmu obraz hiszpańskiej „odwilży" nie byłby pełny i przekonywający.

A zatem jak miewa się kino hiszpańskie? Miewa się dobrze, choć ciągle jeszcze znajduje się na rozbiegu, nie ośmiela się mówić pełnym głosem i brak mu wartościowej tradycji artystycznej. Dni prawdziwej wielkości i sławy są jeszcze przed nim.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KSIĄŻKA

SŁOWNIK SŁAWISTYCZNY

O tym, jak doniosłe znaczenie mają dziś różnego rodzaju naukowe informatory i słowniki biobibliograficzne, przypominać nikomu nie trzeba. Trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek poważniejszą pracę naukową czy publicystyczną, w której można by się w zupełności obejść bez tego rodzaju wydawnictw. Nic więc dziwnego, że mnożą się dziś one w wielu krajach jak grzyby po deszczu, zaskakując nieraz niezbyt wtajemniczonych w sprawę odbiorców swym zakresem oraz zasobem zebranych informacji.

Wydawnictwo, któremu poświęcam dziś uwagę, jest jeszcze bardzo świeże i z pewnością znane — jak dotąd — jedynie niewielkiemu kręgowi swych potencjalnych czytelników. Otrzymałem je przed kilkoma dniami z Moskwy od znakomitego historyka — a jednocześnie redaktora odpowiedzialnego tego tomu — Włodzimierza A. Djakowa, uczonego znanego polskim czytelnikom z licznych prac, poświęconych przezeń naszej polskiej historii. W. A. Djakow wyraźnie lubi pracę nad przygotowywaniem słowników biobibliograficznych: wszak sam ma na swym autorskim koncie wydany przed kilkunastoma laty (1967) kapitalny tego rodzaju słownik działaczy rosyjskiego i polskiego ruchu wyzwoleńczego w carskiej armii w latach 1856—1865, stanowiący bezcenną pomoc nie tylko dla badań nad dziejami powstania styczniowego. Tym jednak razem W. A. Djąkow wystąpił nie jako indywidualny autor całości nowego dzieła, ale jako jego inicjator i redaktor, bowiem praca, o której mowa, jest dziełem zbiorowym specjalistów z Moskwy, Leningradu, Kijowa, Charkowa, Lwowa, Woroneża oraz innych ośrodków naukowych. Rzecz nosi tytuł (w tłumaczeniu z rosyjskiego): „Słowianoznawstwo w przedrewolucyjnej Rosji. Słownik biobibliograficzny" i została wydana w Moskwie, w bieżącym 1979 r. w wydawnictwie „Nauka" pod firmą Instytutu Słowianoznawstwa i Bałkanistyki Akademii Nauk ZSRR. Tom ten liczy ponad 400 stron bardzo zwartego druku i przynosi opracowane bardzo dokładnie, opatrzone rozwiniętym aparatem bibliograficznym (obejmującym również źródła archiwalne) biografie działających w przedrewolucyjnej Rosji uczonych, zajmujących się problematyką słowiańską.

Pojęcie „słowianoznawstwa", podobnie jak i „sławistyki" ma dość nieostry zakres, co stwarzało z pewnością znaczne trudności autorom omawianego słownika. Chodziło o to, aby nie był on pomyślany zbyt wąsko — jako np. słownik filologów słowiańskich — czy zbyt szeroko, pretendując np. do objęcia wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób zajmowali się jakąkolwiek problematyką słowiańską. Radzieckim autorom udało się uniknąć tych niebezpieczeństw i w rezultacie otrzymaliśmy dzieło zwarte, a jednocześnie całościowe. U jego podstaw legła koncepcja słowianoznawstwa, jako „kompleksu dyscyplin naukowych, charakteryzujących się określoną wewnętrzną więzią, a obejmujących lingwistykę, literaturoznawstwo, historię (w niej także historię kultury), a także po części i inne nauki, zajmujące się życiem społecznym narodów słowiańskich, ich wzajemnymi stosunkami oraz stosunkami z innymi narodami". Słownik prezentuje sylwetki reprezentantów wszystkich wymienionych specjalności naukowych, którzy w ten lub inny sposób przewinęli się przez przedrewolucyjną Rosję. I chociaż jest to — ze zrozumiałych względów — przede wszystkim słownik uczonych rosyjskich, nie ogranicza się jednak tylko do nich i obejmuje także przedstawicieli słowianoznawstwa innych narodów, o ile kiedykolwiek działali na terytorium dawnego imperium.

W ten sposób znalazło się w słowniku również i wiele nazwisk polskich, by wspomnieć czy to Jana Baudoin de Courtenay, czy Stanisława Ptaszyckiego bądź Mikołaja Kruszewskiego. Trzeba od razu powiedzieć, że biogramy te są dla nas szczególnie interesujące, przynoszą bowiem szereg danych, zaczerpniętych z radzieckich zasobów archiwalnych, uzupełniających nieraz w istotnym zakresie dotychczasowy zasób naszej wiedzy. Znaczenie jednak omawianego słownika dla nauki polskiej nie polega tylko na tym, że wśród licznych zebranych tu biogramów są takie, które dotyczą Polaków. Wydawnictwo przynosi bowiem ogromny zasób informacji na temat polskich zainteresowań uczonych rosyjskich i innych, działających w Rosji, gromadzi obfity materiał, który dotąd był znany jedynie wąskiemu gronu zainteresowanych badaczy. Starannie opracowany aparat bibliograficzny, w którym uwzględniono także najnowsze publikacje, ogłaszane w prowincjonalnych ośrodkach naukowych w ZSRR i w innych krajach sprawia, że słownik będzie mógł się stać nieraz punktem wyjścia dla nowych inicjatyw badawczych, dla nowych poszukiwań historyczno-słowianoznawczych.

Otrzymaliśmy więc do rąk dzieło wysokiej wartości naukowej, do którego nieraz wypadnie nam zaglądać, bardzo przydatne w pracy historyków, badaczy języka, literatury czy folkloru narodów słowiańskich. Należy się spodziewać, że książka ta dotrze w najbliższych miesiącach do naszych księgarń, specjalizujących się w zagranicznej literaturze, a później także stanie na półkach naszych bibliotek. Będzie świadczyła jak najlepiej o pracy jej redaktorów z Instytutu Słowianoznawstwa i Bałkanistyki oraz licznego zespołu współpracowników, dzięki którym powstało to jakże wartościowe dzieło.

ANDRZEJ F. GRABSKI

KSIĄŻKI O KSIĄŻCE

Szczypta surrealizmu nigdy nie zaszkodzi. Tak więc w sytuacji pogoni za współczesną książką, chcę zwrócić uwagę na serię wydawniczą poświęconą dziejom książki. Myślę o serii **„Ossolineum" — „Książki o książce"**. Dotychczas ukazało się ponad trzydzieści tomów — trudno nawet marzyć o skompletowaniu całości, ale warto przynajmniej śledzić bieżące wydania — no i liczyć na wznowienia.

Warto też dodać, że z reguły poszczególne tomy serii są dotowane przez **Ministerstwo Kultury i Sztuki**, dzięki czemu te bardzo cenne i bardzo pracochłonne publikacje są stosunkowo niedrogie.

Wśród ponad trzydziestu wydanych już tomów serii **„Książki o książce"** znajdziemy bardzo interesujące monografie księgarzy, bibliotekarzy, wydawców... **Prof. Helena Więckowska** wydała tu bardzo cenne opracowanie na temat twórców nowoczesnego bibliotekarstwa polskiego. Jest także książka o rodzinie **Senewaldów** — znanych warszawskich księgarzy i wydawców, jest monografia **Jakuba Mortkowicza**, jest opowieść o bibliotekarskiej pracy **Stefana Żeromskiego** w Rappersville, monografia **Samuela Lindego** — twórcy pierwszego słownika języka polskiego, jest książka o synie **Adama Mickiewicza — Władysławie**, który całe swoje życie poświęcił popularyzowaniu polskiej literatury we Francji... Jest monografia **Gabriela Korbuta** — twórcy polskiej bibliografii, jest monografia **Tytusa Działyńskiego** i opis dziejów Biblioteki Kórnickiej, którą stworzył 150 lat temu...

Słowem — jest ta seria jakąś gigantyczną i wciąż otwartą, nie kończącą się encyklopedią polskiej książki. Właściwie każdy miłośnik książki znajdzie w wydawnictwach **„Ossolineum"** coś dla siebie. Kogo interesuje exlibris — sięgnie po książkę **Mariana Wojciechowskiego „Exlibris — godło bibliofila"**. Kogo interesuje praca edytorska — sięgnie po książki **Jana Trzynadlowskiego** czy **Teodora Zbierskiego**... Kto lubi anegdotę i lekki, gawędziarski ton opowieści — sięgnie po książki **Zbysława Arcta i Ludwika Gocla**...

Nawet prasa, choć nie jest w rozumieniu definicji drukiem zwartym — też trafiła do serii **„Ossolineum"** w postaci książki **Walerego Pisarka — „Prasa, nasz chleb codzienny"**.

Wiele miejsca poświęcono w tej serii sprawom grafiki książkowej. I słusznie, bo książki ukazują się coraz brzydsze, coraz mniej w nich świetnie zakomponowanych ilustracji, coraz mniej dbałości o wystrój plastyczny.

Więc możemy sobie przynajmniej poczytać. Choćby monografię **Elżbiety Skierkowskiej** o Wyspiańskim, artyście książki, czy — tej samej autorki — rozprawę o współczesnej ilustracji książkowej. Albo dzieło **Jana Kuglina** o poligrafii książki.

Znakomita, encyklopedyczna seria **„Ossolineum"** jest — jak się rzekło — serią otwartą. W najbliższym czasie otrzymamy w niej monografię **Karola Estreichera**, pióra **Józefa Korpały** oraz monografię rodziny **Kornów** — księgarzy i wydawców wrocławskich, pióra **Aleksandry Mendykowej**. Wśród najbliższych planów tej serii jest również praca łódzkiego naukowca prof. **Jerzego Starnawskiego** na temat edytorstwa naukowego.

Trochę mnie dziwi, że ta znakomita inicjatywa wydawnicza **„Ossolineum"** — dzięki której od kilkunastu lat otrzymujemy zapis dziejów polskiej książki — jest tak mało spopularyzowana. Oczywiście chwała **Ministerstwu Kultury i Sztuki** za dotacje, chwała ministrowi oświaty, który w roku 1960 podpisał pismo zalecające serię do bibliotek szkół średnich — ale przecież w praktyce mało kto wie o tej wielotomowej bibliotece wiedzy o książce. Wznowienia są rzadkie, nowe pozycje mają niskie nakłady, wzrok warszawskich recenzentów nie dociera do Wrocławia...

Jak już wyżej napisałem mało jest szans na skompletowanie całej serii **„Książki o książce"**. Ale jednak ukazują się nowe pozycje — równie interesujące, jak te wydane przed laty. Warto więc zwrócić w księgarniach uwagę na beżowe okładki z napisem **„Ossolineum"**. Warto mieć w domu książki świadczące o naszej wielowiekowej kulturze literackiej i wydawniczej. Warto je czytać, aby nie stępiła się w nas świadomość owej wielkiej i pięknej tradycji polskiej kultury.

J.W.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

WSPOMNIENIA O PIERWSZEJ GAZECIE

Latem tego roku mija równo sto lat od chwili, gdy na łódzkim bruku znalazł się młody warszawski pozytywista — Henryk Elzenberg. Był lipiec 1879 roku. Określenie „na łódzkim bruku" ma charakter wyłącznie metaforyczny — bowiem osławione łódzkie bruki jeszcze wówczas w ogóle nie istniały.

Henryk Elzenberg, trzydziestoletni prawnik, wykształcony w Szkole Głównej, współpracownik „Gazety Handlowej" i „Przeglądu Tygodniowego", autor „Pogadanek z ekonomii politycznej" — słowem człowiek światły, wybitny uczestnik stołecznego życia umysłowego i literackiego, raptem zostaje odsunięty od możliwości działania... Opuszcza Warszawę.

Pisze w liście do Orzeszkowej w lutym 1879.

„Wybrałem więc Petersburg. Nęci mnie on ogromem, względną wolnością słowa na adwokackiej mównicy, szansą takiego ustalenia bytu, który by kiedyś pozwolił wrócić do kraju..."

Nie bardzo jednak wiadomo, dlaczego — zamiast na wschód, pojechał na zachód. Zamiast miasta „nęcącego ogromem" wybrał mieścinę dość nędzną i mocno prowincjonalną. Przyjechał więc Elzenberg do Łodzi. Przyjechał tu — i wiadomo — musiał zacząć działać. *„Będziemy mieli pismo"* — donosił Orzeszkowej latem 1879 roku.

Szesnastu zapaleńców zarażonych ideą przez Elzenberga zebrało na swym pierwszym posiedzeniu niewiele grosza. Raptem 285 rubli. Suma była niewysoka, ale stanowiła, być może, po prostu dowód dobrej woli, chęci działania... Czy można jednak było za te pieniądze wydawać gazetę codzienną?

Mimo to pięciokrotnie słano do Petersburga prośby o zezwolenie na pismo polskie i pięciokrotnie władze odmawiały. Wreszcie, w roku 1884 uzyskano zgodę. Na redaktora „Dziennika Łódzkiego" powołano geometrę Zdzisława Kułakowskiego, wydawcą został Stefan Kossuth. Faktycznie jednak duszą, organizatorem i kierownikiem pisma był Henryk Elzenberg.

Tak więc pismo powstało. *„Zadecydowały dwie okoliczności* — stwierdza w swym studium Zygmunt Gostkowski — *osoba Henryka Elzenberga i jego praca oraz pomoc finansowa jakiej pismu udzielił Edward Herbst, zięć Karola Scheiblera, naczelny dyrektor i udziałowiec zakładów scheiblerowskich.*

Stefan Kossuth cieszył się zaufaniem Scheiblera, dodajmy, że Elzenberg był w scheiblerowskich zakładach radcą prawnym. Sprzyjał im Herbst, Niemiec, ale urodzony w Radomiu, nie żywiący nacjonalistycznych animozji do Polaków.

Nie znaczy to, rzecz prosta, że fortuna Scheiblerów powołała „Dziennik Łódzki" zupełnie platonicznie, bez własnych celów i interesów. Zygmunt Gostkowski tak pisze o tej sprawie:

„Przemysłowcy moskiewscy w swej kampanii przeciwko przemysłowcom łodzkim posługiwali się między innymi publicystyką prasową. Wiele pism rosyjskich przyjęło na siebie rolę rzeczników sprawy fabrykantów moskiewskich. Ukazujące się w nich artykuły starały się wydobywać na światło dzienne wszelkie ujemne fakty dotyczące przemysłowców łódzkich, w szczególności mówiące o ich stosunku do Rosji, traktowaniu robotników, praktykach handlowych... W kampanii przeciwko przemysłowi łódzkiemu, w którym na plan pierwszy wysuwał się Scheibler, prasa Królestwa zajmowała na ogół również stanowisko dla Łodzi nieprzychylne. W ten sposób fabrykanci łódzcy na gruncie publicystyki prasowej stali się bezbronni. Jedynym zaś społeczno-literackim pismem polskim, które stanęło zdecydowanie po ich stronie w walce z fabrykantami moskiewskimi, był właśnie „Dziennik Łódzki".

Tak więc — mówiąc po prostu — działania Elzenberga trafiły w Łodzi na podatny grunt. I oczywiście „Dziennik Łódzki" stał się proscheiblerowski, bo taka była wówczas jedyna alternatywa pisma.

Osobliwością tej pierwszej polskiej gazety łódzkiej było to, że jej twórca i kierownik, Henryk Elzenberg, właściwie cały czas pozostawał w cieniu. Wydawca był również nominalny. Stefan Kossuth opuścił bowiem Łódź w lipcu 1884 roku, czyli w siedem miesięcy po powstaniu „Dziennika", przez osiem wszakże lat był oficjalnym wydawcą pisma. Dopiero w lipcu 1892 roku władze przypomniały sobie, że wydawca łódzkiej gazety i właściciel drukarni mieszka w... Petersburgu. Zawieszono wówczas wydawanie „Dziennika". Był to koniec gazety, choć jeszcze dotrwała ona do końca roku, zniżając zresztą poziom, drukując głównie reklamy i całostronicowe sprawozdania kryminalne.

I tak się skończył łódzki sezon Henryka Elzenberga, rozpoczęty w lipcu 1879 roku. „Dziennik Łódzki" jako nazwa gazety, odradzał się potem wielokrotnie — i jeszcze się kiedyś odrodzi, przypominając świetność pierwszej, nowoczesnej gazety Łodzi.

WIDOK

PROPOZYCJE

CZYSTA WODA

Człowiek wybiera się na wakacje, cieszy się, że wreszcie będzie mógł wypocząć w lesie, nad jeziorem, na nadmorskiej plaży, cieszy się na słońce i wiatr, na ryby, które tego lata będą chyba dobrze brały, na pływanie po jeziorach i rzekach, na kąpiel. Cieszy się na zapas, gdyż tak naprawdę to nie wie, co go czeka.

W górskich potokach kąpać się nie można, płytkie, rwące o kamienistym dnie. W górskich potokach można łowić pstrągi. Ale to się tylko tak niektórym zdaje. Oto — jak doniosły dzienniki — Spółdzielnia Mleczarska w Zakopanem zatruła ściekami życie biologiczne w górskich potokach aż do Poronina. A to już informacja z innej gazety:

„Czystość wód w potokach, przepływających przez Góry Świętokrzyskie, pogarsza się nieomal z miesiąca na miesiąc".

Tu już winę za zanieczyszczanie wody ponoszą nie zakłady przemysłowe, spółdzielnie mleczarskie, krochmalnie i gorzelnie, ale turyści. Zresztą nie tylko w Górach Świętokrzyskich. Zmotoryzowany turysta przez cały rok tęskni do lata, bo latem ruszy w Polskę, w świat. Każdej soboty, każdej niedzieli może sobie pojechać nad wodę, do lasu, na świeże powietrze. A jak się już znajdzie nad wodą, jak już nałyka się świeżego powietrza, to zaraz bierze się do mycia samochodu. Wody w potokach Gór Świętokrzyskich zatruwają właśnie posiadacze samochodów, którzy korzystając z okazji, że mają w nadmiarze czystą i bezpłatną wodę, myją samochody ile tylko im sił i zapału starczy. I tak dzieje się wszędzie, gdzie tylko samochód znajdzie się nad wodą, a kierowca nie ma wyobraźni.

Taki kierowca myśli sobie: cóż tam mój szampon do mycia samochodu, cóż tam kilka kropli oliwy, trochę benzyny, które dostaną się do wody w porównaniu z olbrzymią szkodliwą robotą przemysłu, który jest głównym trucicielem. Ale tak pomyśleć może każdy. Nie tylko my trujemy rzeki, trują je inni, cóż to więc ma za znaczenie, skoro i tak wody zamieniają się w ścieki. Ściekiem była Tamiza, ale Anglicy potrafili doprowadzić do tego, że ta angielska rzeka stała się znów czysta i wróciło do niej życie biologiczne.

Dane są przerażające. Blisko 12 tysięcy zakładów produkcyjnych odprowadza ścieki do rzek, ale tylko około 6,5 tysiąca posiada oczyszczalnie. Żeby to nie wyglądało zbyt optymistycznie, to trzeba jeszcze wiedzieć, że tylko co czwarta oczyszczalnia ścieków pracuje właściwie. Przeprowadzono niedawno 7 900 kontroli i w trakcie tego ujawniono 8 200 wypadków zanieczyszczenia wody.

W Gdańsku też jest oczyszczalnia ścieków, która nazywa się bardzo ładnie „Wschód". Oddano ją do użytku nie tak dawno, bo w 1976 roku. Oczyszczalnia ta oczyszcza ścieki Gdańska tylko mechanicznie, nie dezynfekuje i odprowadza do morza. W rezultacie tego elbląski wojewódzki inspektor sanitarny zakazał kąpieli i sportów wodnych na wybrzeżu od Mikoszewa i Jantara do Stegna. W Stegnie plażę otwarto warunkowo, obiecując, że zamknie się ją definitywnie w przyszłym roku.

A to oczywiście nie są wszystkie informacje o tym, jakie niespodzianki mogą nas spotkać nad wodami rzek, jezior i morza.

Zanieczyszczanie wód to nie jest tylko niedogodność dla turystów i wczasowiczów. To sprawa znacznie poważniejsza. Człowiekowi się zdaje, że jest ponad wszystkim, że jest panem stworzenia. W rzeczywistości jest tylko rozumną częścią przyrody. Świadomość tego powinna zobowiązywać do odpowiedzialności za całą przyrodę. Ale człowiek bywa też egoistyczną częścią tej przyrody, dba tylko o swój, źle zresztą pojęty, interes. Wielokrotnie brakuje mu wyobraźni, nie potrafi widzieć i przewidzieć skutków swojej działalności w skali całej przyrody przynajmniej tego regionu, w którym żyje i działa. Ale praktyka pokazuje, że przyroda na całym globie stanowi jedną nierozerwalną całość. Substancje trujące, jakimi posługuje się człowiek w zwalczaniu szkodników w rolnictwie znajdywano nawet na biegunie, gdzie przecież nie ma ani roślin, ani ludzi rośliny te opylających.

Pisze się i mówi o potrzebie ochrony środowiska. Brzmi to często, jak kazania niedzielne, nawołujące do moralnego prowadzenia się, których skutki są właściwie żadne. Obciążanie karami fabryk, też nie daje skutku. Trzeba więc poszukać innych środków. Na przykład Anglicy wprowadzili prostą zasadę. Ujęcie wody nie może być wyżej położone niż ujście ścieków do rzeki. Inaczej — chcesz brać czystą wodę z rzeki, to jej nie zanieczyszczaj. Może to jest sposób?

Budowa oczyszczalni ścieków kosztuje czasami tyle co cały zakład produkcyjny lub tyle co jego połowa. To oczywiście znacznie podraża proces inwestycyjny. Ile kosztuje zanieczyszczanie środowiska? Tego się w złotówkach nie wyliczy. To może tylko odbić się na naszym zdrowiu.

MARCIN RODAK

ZAMIAST FELIETONU

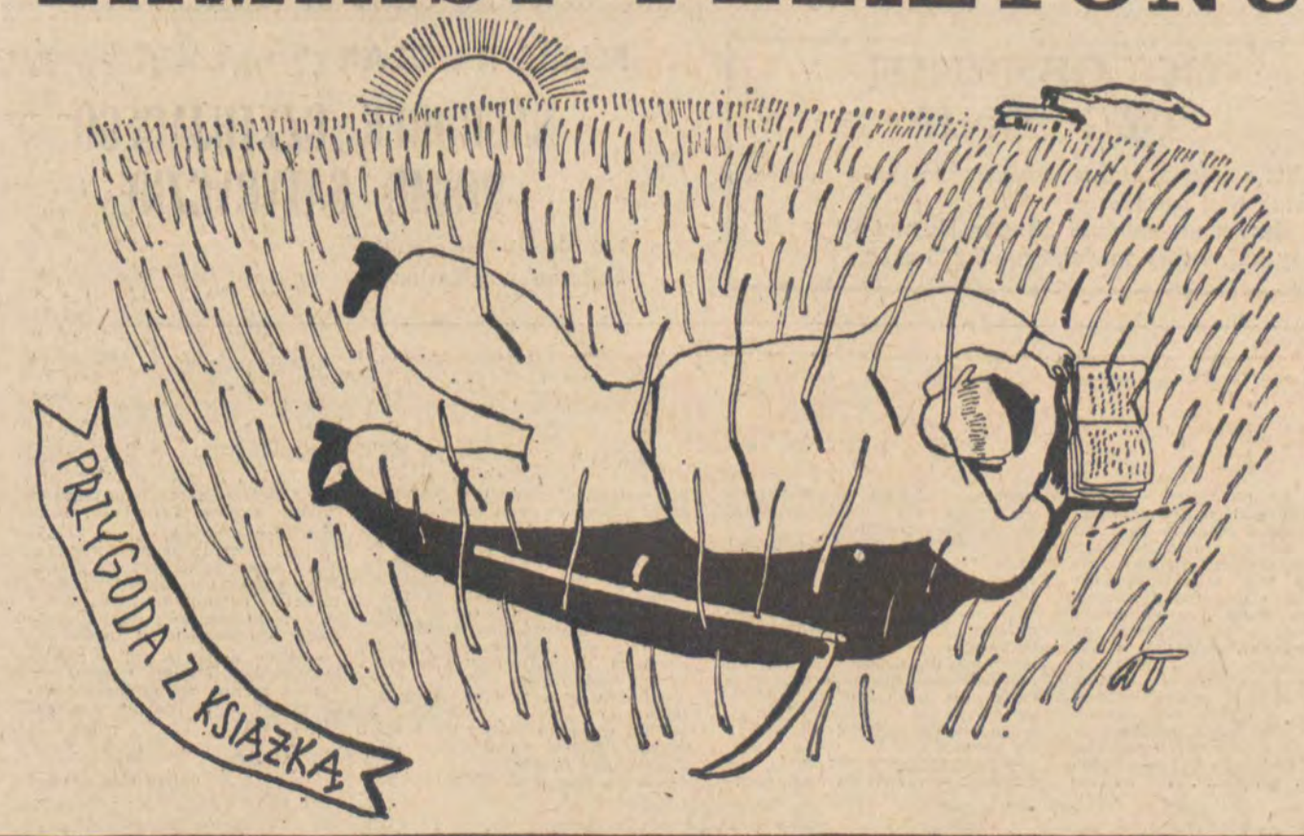

Z GALERKI

MIECZYSŁAW JAGOSZEWSKI

Cóż lata,
Gdy młody
I lata!

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

KIBIC – RAZ JESZCZE

W niektórych dziennikach i w prasie sportowej ukazały się przedruki reportażu z zachodnioniemieckiego tygodnika „Stern" na temat chuligańskich wybryków na stadionach RFN. Co wynika z tego tekstu?

Reporterzy „Sterna" pokazali system policyjny, jak został stworzony w RFN, aby zapobiegać chuligańskim wybrykom i karać chuliganów. Jest to, można powiedzieć, system niemal naukowy. Współtworzyli go bowiem nie tylko wybitni specjaliści z zachodnioniemieckiej policji, ale psycholoozy i socjolodzy. Policja dysponuje kartotekami chuliganów, policjanci na stadionach posiadają aparaty fotograficzne z teleobiektywami i przy ich pomocy wzbogacają policyjną kolekcję chuliganów, specjalizujących się w rozróbach na stadionie i po meczach. Kary za takie „wybryki" są bardzo wysokie. Policja RFN wymienia też doświadczenia z policją z Wielkiej Brytanii, gdyż kibiców brytyjskich uważa się za najbardziej brutalnych, stąd i policja brytyjska musi dysponować odpowiednimi metodami.

Relacja tygodnika „Stern" budzi szacunek wobec metod policji RFN, ale też skłania do kilku refleksji. W poprzednim tygodniu w felietonie pt. „Kibic, jaki jest?" napisałam tak:

„Aby był spokój po wyjściu ze stadionu, aby był spokój przy wychodzeniu ze stadionu, potrzeba służby porządkowej i milicji. Proszę popatrzeć, jak poogradzane są stadiony piłkarskie w innych krajach, ile tam policji. Czasami porządek można utrzymać tylko siłą. Bo rozchuliganiona młodzież w swojej istocie jest tchórzliwa i respekt ma tylko przed siłą. Wychowujmy więc kibica nadal, ale nie zapominajmy o potrzebie utrzymania porządku siłą, ale nie zapominajmy o potrzebie utrzymania porządku siłą. Nie ma czego się wstydzić".

Nie mam teraz zamiaru się wycofać z tych stwierdzeń. Uważam, je nadal za prawdziwe, a to dlatego, że w moim przekonaniu wszelkie chuligaństwo nie bierze się z niczego. Jest ono ubocznym, niepożądanym, ale rzeczywistym wytworem naszej obyczajowości. Jest wynikiem braku kultury, niedostatków naszego systemu wychowawczego. Jest zjawiskiem złożonym.

Niektóre dzienniki, które opublikowały tekst ze „Sterna" podały go bez słowa komentarza. Widać uznano, że komentarz nasuwa się sam. Oto proszę bardzo jest wzór do naśladowania. Niech i nasza milicja stworzy taki system bezpieczeństwa kibicom sportowym, a będziemy mogli spać spokojnie. Tylko, że jest to zaledwie część prawdy.

Jeśli bowiem przyjmiemy taki tok rozumowania, że całą odpowiedzialność zwalimy na milicję, uznając, że utrzymywanie porządku jest jej podstawowym zadaniem, to będzie to tylko odepchnięcie odpowiedzialności. Sprawa nie jest bowiem taka prosta. W zwalczaniu chuligaństwa musi współdziałać szeroki front różnych czynników. Swoje musi robić milicja, ale i kluby, sportowcy, propaganda, szkoła, dom, środowisko nie mogą tracić tego ujemnego zjawiska społecznego ze swego pola widzenia. Warto pokusić się o to, aby powstał szeroki społeczny front potępienia dla takich postaw, dla niewłaściwego zachowania się na stadionach.

Nie bądźmy naiwni, chuligaństwo na stadionie, czy w jego okolicy po meczu jest tylko jednym z przejawów szerszego zjawiska. Walkę trzeba wydać każdej formie chuligaństwa, gdzie ono tylko się objawia. I tu społeczeństwo musi pomagać milicji.

Mechaniczne przeniesienie wzorów działania policji z innych warunków politycznych, obyczajowych i społecznych nie może być uniwersalną receptą na wybryki naszych rodzimych chuliganów. Co nie znaczy, że nasza milicja nie może się trochę na obcych wzorach podszkolić. Zresztą w działaniu milicji wiele uwagi przywiązuje się do zapobiegania tego rodzaju wypadkom i korzystanie z różnych wzorów nigdy nie szkodzi, jeśli wzory te stosuje się dla dobrej i słusznej sprawy. Ale — powtarzam — nie można całej odpowiedzialności zwalić tylko na milicję, aby mieć spokojne sumienie, że to nie nasza sprawa. Właśnie, że nasza.

I na tym chciałabym zakończyć pisanie o kibicach, którzy nie są kibicami. Już niedługo piłkarze wrócą na boiska i miejmy nadzieję, że życie nie dostarczy nam takich tematów. A teraz właśnie ruszył wyścig DOOKOŁA POLSKI. Warto więc przyjrzeć się, jak pojadą nasi kolarze. Do mistrzostw świata już niedaleko.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438 Telefony: 652-44 sekretariat i red. naczelny 680-99, 677-70. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listono sze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 1581. A-2.

Załącznik nr. 33(-)79

HASŁO NUMERU: NA URLOP WEŹ ZE SOBĄ SŁOŃCE (na fotografii)

ZAGADKA

Od pewnego czasu reklamuje się w łódzkich gazetach Pogotowie Telewizyjne WPHW. Posiada ono telefon „czynny całą dobę". Program TV kończy się przeciętnie około północy. Pytanie: **kto dzwoni do Pogotowia Telewizyjnego po zakończeniu programu i do kogo jeździ Pogotowie między północą a rozpoczęciem programu w dniu następnym?**

Z ŻYCIA SFER

Bay, bay Banaczek!

Z kół dobrze poinformowanych donoszą, że rozstajemy się już z detektywem Banaczkiem, co nie przyjdzie nam z trudnością. Gorzej, że trzeba się będzie rozstać również z porucznikami Columbo i Kojakiem. Martwi nas również to, że nadal nie wiemy, kto ich zastąpi?

Hafty, pomidory i teatr

Krystyna Sienkiewicz zwierzyła się Lilianie Czaplewskiej, że poza teatrem uprawia pomidory, rzodkiewki i sałatę, haftuje oraz, że w telewizji „Ktoś mnie tam nie lubi". Szkoda, bo my lubimy oglądać Krystynę Sienkiewicz w telewizji. Ale żeby nam nie było zupełnie przykro Młodzieżowa Agencja Wydawnicza szykuje książkę Krystyny Sienkiewicz, która ma się nazywać „Haftowane gałgany" i do której wiersze pisze Agnieszka Osiecka. Tyz pięknie! — jak mówią górale.

Dlaczego?

„Dlaczego mnie nie nadają" — pyta w „Polityce" Andrzej Dąbrowski i wymienia piosenki, jakie ostatnio nagrał i które nie znalazły uznania w Naczelnej Redakcji Muzyki Rozrywkowej Polskiego Radia. Zdaniem autora wszystkiemu jest winna ciężka choroba, na jaką zapadła nasza rozrywka. Ale to nie wyjaśnia jeszcze, dlaczego w radio i telewizji nie ma nowych piosenek Andrzeja Dąbrowskiego. No, właśnie, dlaczego?

Jest taki plutonowy

W Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej w Warszawie jest taki plutonowy, który zrobił kabaret. Plutonowy nazywa się Tadeusz Ciągardlak, pisze wiersze i teksty dla swego kabaretu, który działa już od pięciu lat. Ceni dowcip, „z którego ludzie inteligentni śmieją się natychmiast", ceni publiczność mądrą, która „nie boi się odkryć i wszystko rozumie". Tadeusz Ciągardlak umie pośmiać się nawet z siebie, co wcale nie jest takie łatwe. Nie tylko uważa on, że w milicji „mamy zdolnych ludzi", ale potrafił to udowodnić, gdyż jego zespół występuje również w warszawskich fabrykach.

No proszę, a ileż to głupich dowcipów naopowiadano o milicjantach.

Paszkwil

„Paszkwil na nauki społeczne" napisał w „Sztandarze Młodych" Jerzy Chłopecki — publicysta i socjolog. Zarzucił on naukom społecznym, że cierpią na „ciężkie schorzenie — właśnie na kompleks nienaukowości". Stąd dążenie do nadmiernego cytowania uznanych autorytetów, powoływanie się na tezy już dowiedzione, ucieczka przed samodzielnym dochodzeniem do nowych stwierdzeń. „W rezultacie — napisał J. Chłopecki — odkrywczych myśli, nowych idei, koncepcji zaskakujących i nowatorskich spostrzeżeń czytelnik łacniej doszuka się dziś w felietonach niż w pracach naukowych". Felietoniści z tego się ucieszą, ale miłości im to nie przysporzy. I dobrze, bo nie po to pisuje się felietony, aby wszyscy kochali autora.

RUCH NA POWIETRZU — *Rys. Jan Zieliński*

BABA, MIOTŁA I ŁABĘDŹ

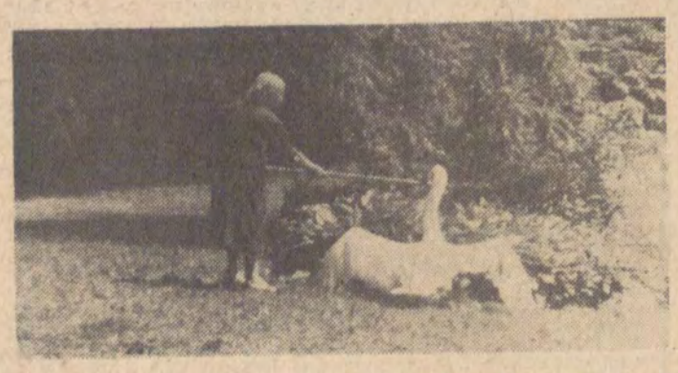

Foto: Henryk Pustkowski

JEST SZCZEROŚĆ

Od czasu do czasu ktoś próbuje nas przekonać, że nie jest jeszcze na naszym kochanym świecie tak źle ze szczerością między ludźmi... Ostatnio na przykład rozbroili nas swoją szczerością — i co tu dużo mówić — natchnęli otuchą dwaj panowie rozmawiający na łamach „Expressu Ilustrowanego": dziennikarz sportowy i trener.

Jako pierwszy z propozycją szczerości wystąpił dziennikarz: **„poprosiłem trenera o szczerą rozmowę w cztery oczy".**

„W Finlandii porozmawialiśmy sobie szczerze z piłkarzami — wyznaje trener — **Jestem przekonany, że w tej chwili istnieje całkowite porozumienie między mną i drużyną".**

Fajnie, tylko czy po tę szczerość trzeba było jechać aż do Finlandii...?

Gratulując trenerowi (szczerze!) szczerości i dobrego samopoczucia wolimy jednak na skutki owego „szczerego szczerzenia się" (jakby zaśpiewał Wojciech Młynarski) poczekać do sezonu ligowego. Nadmiernie „wyszczerzonym" optymistom (w kwestii szczerości międzyludzkiej) polecamy lekturę książeczki naszego kolegi A. Makowieckiego — „Kwadrans śpiącej królewny" (do nabycia w księgarniach). I dziennikarz, przekonujący nas o swej szczerej naiwności, i szczery aż do bólu trener znajdą w niej coś na temat... szczerości — w świecie ludzi kopiących skórzanego balona.

K.I.BIC

Rys. Andrzej Adamowicz

GDZIE JEST DZIADEK?

Słuchacze popularnej audycji radiowej **„Lato z radiem"** mają poważny kłopot. Piszą listy i pytają w nich: **„Gdzie jest Dziadek Włodek?", „Co się stało z Dziadkiem Włodkiem?", „Czyżby niecni zbójcy porwali Dziadka Włodka?".**

„Lato z radiem" odpowiada, że Dziadek Włodek — z Łodzi zresztą wywodzący się — starymi zwyczajami chodzi gdzieś ścieżkami dawniej utartymi i go nie ma.

Prawda jest bowiem taka, że Dziadek Włodek — z Łodzi zresztą — kiedy w zeszłym roku skończyło się „Lato z radiem" wyszedł ze studia i do tej pory nie powrócił. Gdyby więc ktoś wiedział, gdzie jest Dziadek Włodek, to prosimy pilnie powiadomić **„Lato z radiem"**. Można też pisać do **„Załącznika"**, listy prześlemy już gdzie trzeba.

A oto rysopis Dziadka Włodka: Wzrost niedużo, dawniej blondyn, oczy niebieskie, broda siwa, zębów brak. Stary już, ale jeszcze jary. Poza tym uroczy i sympatyczny. Bywa nawet dowcipny.

Niestety zaginął. Szukajmy więc wszyscy Dziadka Włodka!

S. Ł. UCHACZ

SPÓR O „GAMĘ"

W 1972 roku powstała koncepcja utworzenia domów towarowych **„GAMA"**, w których sprzedawano by towary przemysłu maszynowego. Niedawno **„Przegląd Techniczny — Innowacje"** upomniał się o realizację tej koncepcji, proponując, aby któryś z domów towarowych „Centrum" w Warszawie przemianować na **„GAMA"** i zmienić zestaw sprzedawanych tam towarów. **„PT-I"** wskazał na **„Juniora"** lub **„Smyka"**.

W obronie dzieci i młodzieży, artykuły dla których sprzedają warszawski **„Junior"** i **„Smyk"**, wystąpiły **„Polityka", „Życie Gospodarcze", „Kobieta i Życie"** oraz inne pisma. **„Przegląd Techniczny — Innowacje"** odsądzono od czci i wiary.

Na łamach **„PT-I"** zabrał ostatnio głos dyrektor Przedsiębiorstwa Domy Towarowe „Centrum" — mgr **Teresa Lewtak-Trattler**, która pisze, że idea tego, co proponował „PT-I" **„jest całkowicie zbieżna z naszymi odczuciami i zamiarami"**. DT „Centrum" też chcą **„rozszerzenia i pogłębienia asortymentu sprzedawanego w domach towarowych w grupie wyrobów przemysłu maszynowego"**. I że można to osiągnąć bez likwidowania **„Smyka"** czy **„Juniora"**, bo one są bardzo potrzebne i opłacalne. Co więc stoi na przeszkodzie?

Przemysł maszynowy nie pali się do tego, aby dawać tyle towarów, żeby były w ciągłej sprzedaży w domach towarowych „Centrum", których w kraju mamy trzydzieści trzy. Otóż to. Już stary Boy zauważył, że **„z tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz"**. I co tu się spierać, jak nie bardzo jest czym handlować. Ale spór — mamy taką nadzieję — będzie się nadal rozwijał. Ku chwale polemistów.

K. L. IENT

OGŁOSZENIE TYGODNIA

Przy przystanku autobusowym koło „Centralu" wisi ogłoszenie:

„Sprzedam spodnie „Super Holendry" wycirusy najnowszy model, cena 3.200 zł..."

FELIKS RAJCZAK

NAGROBEK CZYTUJĄCEGO PISMO SATYRYCZNE

Już cię nie rozweseli Felieton w „Karuzeli"

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WIELKA PCHŁA

MINI POWIEŚĆ O!?

ODCINEK 12

Wiktor Ostroga jest bohaterem pozytywnym niniejszej historii, a o takich nic śmiesznego powiedzieć nie można. Najwyżej, że popija kefir pod ostrzałem z broni maszynowej, jak Kojak, lub kocha własną żonę, jak Maigret. Cóż, kiedy do Wiktora nikt nie strzela, a nadmierne powodzenie u dziewcząt uczyniło mu ożenek nieopłacalnym.

— Pani mi da rękę! — zwykł był mawiać pod koniec pierwszego spotkania i odnośna pani już widziała oczami duszy przystojniaka wieszającego firanki we wspólnym M-3. Małżeństwo bowiem — o czym prasa dawno już panią przekonała — powinno być partnerskie, a partnerstwo, to właśnie firanki, zmywanie i wynoszenie śmieci. Na razie chodziło jednak o wywróżenie, że „nie ma pani odwagi zaufać własnemu sercu, a okazja nie zając: ucieknie". Że „nie sztuka powiedzieć sobie nad fotografią sprzed dwudziestu lat — jaka ja byłam głupia...". I na zakończenie: Jakieś ważne przeżycie czeka tuż obok. Dziękuję, więcej nie powiem".

Rzeczywiście więcej nie mówił, mała ręka zostawała w dużych rękach, zaczynało się przeżycie. Potem Wiktor wracał do Szczawopolanki i do odżywek dla niemowląt. Praca w przetwórni absorbowała go tak, że czasem po powrocie do domu zastawał już nawet śpiącą siostrzyczkę, Mariolkę, co poznawał po szmince na wspólnym ręczniku. Mieli bowiem osobne pokoje, ale wspólny ręcznik.

— Najważniejszy dla mnie jest człowiek — mówił do dziennikarki, wyspecjalizowanej w wywiadach z pozytywnymi bohaterami. — Siekając szczaw myślałem zawsze o człowieku.

— Wiem, obywatel przeszedł wszystkie stopnie kariery, aż do magazyniera. To piękna i nietypowa droga. Czy zawsze był pan... był obywatel najlepszy?

— Tak się jakość składało; chciałem po prostu zrealizować własną osobowość.

— I cały czas w tym samym zakładzie?

— Do szczawiu można się przywiązać. Zresztą tu innych zakładów nie było.

— A po pracy? Pańskie hobby?

— Lubiłem chodzić po łące i zbierać szczaw. Teraz cóż, nie te oczy...

„Patrzę w te uśmiechnięte oczy i wiem, że to żart. Za oknem dymi komin' — zakończyła swój reportaż dziennikarka. Było też w gazecie zdjęcie i Wiktor znów dostał sto pięćdziesiąt listów.

— A do mnie? A ja? — myślała Mariolka z domu Ostrożanka. Nawet ładnie, ale gdyby się dało zmienić... A właśnie poprzedniego dnia....

dalszy ciąg nastąpi